Nr. 118.

30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 2 października 1909.

Z treści: **Błędne ogniki „Czerwonego bagna".**

Wychodzi w każdą sobotę.



Szerlok Holmes grał z coraz większym ogniem na skrzypcach, a Taxon dzielnie wtórował mu na trąbie.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.
Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 18. Kraków, dnia 2 października 1909. Nr. 18.

ZE ŚWIATA.

Szalona telefonistka.

W urzędzie telefonicznym w Marsylii niemałego bigosu narobiła w zeszłym tygodniu pewna telefonistka, która w czasie urzędowania, najniespodziewaniej dostała ataku pomięszania zmysłów. Rzecz sama przez się tragiczna miała jednak wysoce drastyczne i komiczne następstwa, spowodowane przeszło dwugodzinnem „urzędowaniem“ niepoczytalnej telefonistki.

18 letnia dziewczyna, dziedzicznie chorobliwie obciążona, przyszła jak zwykle o godz. 8 rano do służby. Od godziny 12 w południe zaczęła nastawiać fałszywe połączenia, przy czem sama brała udział w rozmowach.

Między innymi „figlami“ uwiadomiła marsylską i paryzką policyę o zamierzonym zamachu anarchistycznym.

Skutkiem tego było, że wszyscy przybywający pasażerowie byli pilnie obserwowani, a ponieważ niektórzy wydali się czujnym organom policyjnym „podejrzanymi“ — zostali w krótkiej drodze przyaresztowani. Kilku małżonkom napędziła niemałego strachu doniesieniem o wiarołomstwie ich żon. Największą jednak szkodę wyrządziła na giełdzie, nie dokonując wcale żądanych połączeń lub zestawiając je fałszywie.
Kilku graczy giełdowych wystąpiło nawet ze skargą o odszkodowanie.

Pomimo dowiadywań się i zażaleń stron, urzędowała wesoła waryatka w ten sposób aż do godziny 2-ej popołudniu. Gdy przełożony wezwał ją do opuszczenia swego miejsca — sprzeciwiła się temu gwałtownie i porozbijała wreście wiele aparatów. Musiano nieszczęśliwej skrępować ręce i nogi i dopiero po ubezwładnieniu jej — usunięto z urzędu.

Także przysięga!

Następująca formułka przysięgi była dawniej używana u cyganów:

„Tak, jak Bóg dał utonąć wojskom Faraona w pośrodku morza Czerwonego, to tak samo niech i mnie porwą wnętrzności ziemi, i niech tak będę przeklęty — jeżeli nieprawdę mówię! Niech mi tak nie powiedzie się nigdy żadna kradzież, ani zamiana, ani żaden inny interes. Niech przy pierwszej zamianie koń mój obróci się w osła, a sam niech umrę z ręki kata na szubienicy!

Nago przez ulice Londynu.

Ciekawe, gratisowe, a mimowolne przedstawienie dał publiczności pewien restaurator na londyńskiem przedmieściu Whiteschapel.

Około godziny pierwszej został z miłego snu zbudzony przez złodziejów, którzy wkradli się do jego mieszkania. Posłyszawszy podejrzany szmer wyskoczył z łóżka w nocnej koszuli i popędził za nieproszonymi gośćmi. Udało mu się jednego z nich pochwycić. Miał zamiar oddać go w ręce najbliższego stójkowego i w tym galowym stroju udał się przed bramę. Ponieważ jednak, jak często się zdarza policyanta nie było. — wobec tego, pomimo bardzo niedostatecznego swego ubrania, po-

stanowił sam osobiście doprowadzić złodzieja na najbliższą inspekcyę policyi oddaloną od jego domu o jakie kilkaset metrów.

Wkrótce zebrał się około obydwóch wielki tłum ludzi, którzy — o ironio losu! — zwrócili się przeciwko restauratorowi i ściągnęli z niego koszulę. Tymczasem złodziej umknął.

Ponieważ jednak tłum przybrał wobec niego groźną postawę i zaczął nie na żarty nacierać, wolał nieszczęśliwy golec wskoczyć do przechodzącego właśnie, gęsto ludźmi zapełnionego tramwaju.

Teraz senzacya osiągnęła punkt kulminacyjny. „Nagi człowiek“ musiał natychmiast opuścić tramwaj elektryczny. Wreście ujęła się za nim policya i zawiozła go w dorożce do domu.

Sąd kukułek.

We Flandryi panują niektóre dziwne zwyczaje ludowe. W miejscowości Polteur, n. p. odprawiano niedawno tam wśród olbrzymiego napływu okolicznej ludności t. zw. „sąd kukułek“. Sąd taki odbywa się rok rocznie. Posiedzenie sądowe odbywa się na moście łączącym Polteur z miejscowością Sart, gdzie zajmują miejsca sędziowie ludowi i zapozywają wszystkich oszukanych małżonków przed swój trybunał t. zw. „kukularzy“, następnie „pantoflarzy“ pozwalających się bić i tyranizować swym żonom, przócz tego i innych „panów stworzenia“ ośmieszających się w jakikolwiek bądź sposób w swojem pożyciu małżeńskiem i będących z tego względu pośmiewiskiem sąsiadów. Jeżeli nie chcą jawić się dobrowolnie wtedy sprowadza ich przymusowa patrol złożona z 30 lub 40 wieśniaków i wlecze przed sąd z ich „kukułczych gniazd“, jak ich domostwa we wsi nazywają.

Tu poddani są humorystycznemu przesłuchaniu, a w tym samym tonie jest trzymane oskarżenie i obrona „podsądnych“. W rozprawie bierze bardzo żywy udział publiczność, podczas czego ostry, bezwzględny dowcip ludu znajduje nieraz aż nazbyt dosadny swój wyraz. Oskarżeni są zazwyczaj skazani a kary są zadziwiająco proste: Skazany musi sędziom zafundować piwa, a sam skoczyć do dołu z gnojem.

Pamięć ryb.

Ostatnie badania uczonych przyrodników wykazały niepomierne zdolności zmysłowe u ryb. Jako przedmiot badań użyto łososia, który jak wiadomo, żywi się małemi rybkami, zwłaszcza zaś sardynkami mającemi srebrzystą łuskę. Gdy część sardynek pomalowano na czerwono i wrzucono do basenu, gdzie łososie przebywały — rzuciły się one z żarłocznością na srebrne rybki. Ale wkrótce skosztowały i czerwonych i widocznie przekonały się, że są zarówno smaczne jak i srebrne i uprzątnęły się z niemi prędko. Następnie pomalowano sardynki na kolor jasno niebieski i wraz ze srebrnemi i czerwonemi wrzucono ponownie do obserwacyjnego basenu. Z początku łososie omijały troskliwie niebieskie sardynki i przekonawszy się jednak, że mięso ich jest równie dobre jak srebrnych i czerwonych — pożarły je z tym samym apetytem, jakim zaszczycały innokolorowe ich siostry. Teraz przywiązano małe kolce do ogonów niebieskich sardynek. Łososie rzuciły się chciwie na pożywienie, ale przy tem pokłuły się. Zapanował popłoch między niemi i tego dnia nie tknęły się już zdradliwych „niebieskich“.

Na drugi dzień zapomniały atoli łososie zupełnie o smutnych doświadczeniach swoich.

ALLOTRIA.

Szczyt.

— Czy pani Drapidralska nie ma dzieci?

— Ależ panie! pan jej nie zna widocznie! Ta baba jest za skąpa, by dziecku dać życie!

Albo — albo.

Ona: Czy nie wiesz o tem, że pijaństwo skraca życie?

On: O tem nie wiem, ale że skraca wybornie czas, to już się przekonałem!

Wymówka.

A: I czy się nie wstydzisz w jednej i tej samej sprawie dwa razy mnie okłamać?

B: A czy pan nie wiesz o tem, że kto raz skłamie, temu drugi raz nie wierzą?

Familia.

Turysta. A więc piorun zabił wam krowę?

Chłop. Tak! tak! Ogółem w tym roku miałem wiele nieszczęśliwych wypadków w rodzinie!...

Niech i tak będzie!

— Robię pana na to uważnym, że córka moja dostanie posag dopiero po mojej śmierci.

— Niech i tak będzie! Ożenię się z nią na razie — z miłości!

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

BŁĘDNE OGNIKI CZERWONEGO BAGNA.

ROZDZIAŁ I.

W redakcyi „Worlda“.

W jednej z elegancko, a wygodnie urządzonych sal Redakcyi wielkiego nowojorskiego dziennika „The World“ — siedziało około godzinu 2 po północy dwóch panów przy biórkach zasypanych manuskryptami, odbitkami szczotkowemi i papierami. Jeden z nich był to mister Bradford, naczelny redaktor gazety. Była to postać znana każdemu niemal dziecku, o długiej, kasztanowatej brodzie, i złotych okularach, za któremi błyszczały mądre, bystre oczy.

Bradford rozpoczął chwalebną swą karyerę od chłopaka roznoszącego gazety, jak to wiele biednych dzieci w Nowym Jorku robi, a przez swoją niezwykłą energią i wybitne zdolności doszedł do wybitnego i wpływowego stanowiska redaktora najpoważniejszej najpoczytniejszej gazety w Nowym Jorku.

W dzień biegał z gazetami — w nocy uczył się i pracował, a przedewszystkiem poznał na wskróś ojczyste swoje miasto ze wszystkiemi jego zaułkami, tak, że w 17 roku życia był już wybornym reporterem.

W tym charakterze dokonywał prawdziwych cudów i sprytem swoim zawstydzał nieraz najbieglejszych detektywów i odkrywał zbrodnie, o jakich nie śniło się nawet tym panom.

W uznaniu zasług został przez wydawców zamianowany w 35 roku życia naczelnym redaktorem gazety.

Kto jednak był ten szczupły, wysoki, elegancko ubrany pan, siedzący naprzeciw redaktora? Obcy miał twarz gładko wygoloną, o ostrych, wyrazistych rysach — rozjaśnionych szaro-stalowemi oczami, o szczególniejszym blasku i porzenikliwości.

Współpracownicy „Worlda“ napróżno łamali sobie głowy, kto to mógł być ten nieznajomy?

Szef redakcyi był nieprzystępnym i niewidzialnym dla interesantów, a ten nieznajomy już od czteru tygodni bez meldowania i opowiadania się wchodzi jak do siebie do sanktuarium pana redaktora.

Co dziwniejsza! Nie został za drzwi wyrzucony — przeciwnie siedział tam całe dwie godziny, a szef w tym dniu nie przyjmował więcej nikogo.

Nieznajomy przychodził kiedy chciał — zostawał godzinami całemi u Bradforda, nie przedstawił się nikomu ze współpracowników i do nikogo się nie odzywał.

Domyślano się w nim jakiegoś wysokiego dyplomaty, a niektórzy z „bystrzejszych“ byli zdania, że wygolony pan jest zastępcą olbrzymiego bogatego towarzystwa akcyjnego, zamierzającego kupić „Worlda“.

Dzisiaj przybył zagadkowy ten człowiek na krótko przed północą i p. Bradford znowu zamknął się z nim w swym gabinecie, gdzie obydwaj rozmawiali tak cicho i ostrożnie, że absolutnie podsłuchujący pod drzwiami nie mogli nic połapać.

My jednak jesteśmy w szczęśliwszem położeniu

i z pierwszego pytania, jakie obcy zadał redaktorowi mamy już wyobrażenie kto jest ten interesujący nieznajomy.

— Więc masz pan zamiar naprawdę jutro opuścić nasze miasto? Pańskie usiłowania odkrycia tego zbrodniczego konsorcyum nie powiodły się zatem?

— Nie powiodły się w N. Jorku — odpowiedział detektyw po cichu. — Ale będę dalej szukał po innych miastach świata. Zanim jednak odjadę z moim młodym pomocnikiem Harry Taxonem, muszę panu serdecznie podziękować za wiele dobrych rad i wskazówek udzielonych mi ze skarbnicy pańskich doświadczeń.

— Ach! panie Holmes! Pan przesadzasz w swojej grzeczności!... Mogłem był tylko bardzo niewiele uczynić dla pana i jego celów.

— A jednak wyświadczyłeś mi pan wielkie przysługi, mr. Bradford. Gdy puściłem się z Taxonem w tę podróż powiedziałem mu: „Jeżeli by nam się udało unieszkodliwić „Błędne ogniki Czewonego bagna“ jak się nazywa to międzynarodowe stowarzyszenie zbrodniarzy — to musi nam pomocy swej udzielić człowiek znający wybornie ten amerykański Babilon! Tym człowiekiem mogłeś pan być tylko mr. Bradford, pan, który jesteś najlepszym znawcą Londynu.

— Było to dla mnie wielkim zaszczytem usłużyć panu. Co zamyślasz pan teraz czynić? W jaki sposób odkryjesz ślady tych strasznych zbrodniarzy?

Holmes wzruszył ramionami, zmarszczył brwi i odpowiedział z rozwagą:

— Muszę się panu przyznać otwarcie, mój szanowny, kochany panie Bradford, że jestem nieco w ambarasie. Pomimo całego nakładu pracy i trudu, jaki tej sprawie poświęciłem, nie udało mi się jednak dowiedzieć się coś dokładniejszego, coś coby mnie mogło do celu doprowadzić!

W Londynie, Paryżu, N. Jorku, Berlinie, Wiedniu, w Warszawie i Krakowie — we wszystkich większych miastach świata wprowadziłem dokładną akcyę śledczą, wszędzie się zatrzymywałem —

— I bez rezultatu?

— Bez najmniejszego! Nigdzie nie mogłem zrobić choćby najmniejszego odkrycia, któreby mi wskazywało na istnienie bandy w danem miejscu.

— Powiedz mi pan, panie Holmes — mówił teraz poufałym tonem Bradford, naczelny redaktor „Worlda“, zapalając ponownie zagasłe cygaro. — Czy jesteś pan wogóle pewnym, że takie zbrodnicze konsorcyum egzystują?

Holmesa pytanie to nie wyprowadziło ze spokoju, choć tego rodzaju wyrażona wątpliwość — mogła mu być przykrą.

Przyczepił usta do cybuszka swej krótkiej fajeczki i otoczył się pierścieniami niebieskiego, gęstego dymu, jak to zwykł był zawsze czynić, gdy myślał nad czemś ważnem i doniosłem.

— „Błędne ogniki“ egzystują! I „Czerwone bagno“ także nie jest wymysłem — jest to niestety, ustalona prawda!

— Czy pan się przekonałeś o tem?

— Tak! Ci ludzie dawali w tak wyraźny, a zarazem i straszny sposób znać o sobie, że niepodobieństwem jest wątpić w ich istnienie!

Jest to banda największych i najniebezpieczniejszych opryszków na świecie. Pracują oni wszyscy solidarnie, ręka w rękę i do tego z taką niepospolitą precyzyą, z taką prawdziwie wojskową karnością, że na ich czele — jak się domyślam — musi stać jakiś potężny osobnik, wyposażony nadzwyczajnym zmysłem i tytaniczną siłą woli. Wszystkie większe zbrodnie dokonane w ostatnich czasach — należy zaksiążkować na conto „Błędnych ogników Czerwonego Bagna“.

Firma, jaką sobie obrali jest rzeczywiście bardzo odpowiednia, bo unoszą się nad nizinami życia, podocnie, jak owe błędne ogniki nad bagnem, to tu, to tam pojawiają się i prędko giną.

Są oni członkami jednej, wielkiej bandy, trzymającej się razem, a rządzonej według programu przez swą Centralę.

Należy do nich — jak mówiłem — bardzo przedsiębiorczy i pomysłowy człowiek, który umiał ich świetnie zorganizować i trzyma w ręku nici wszystkich spraw i interesów.

— Być może — mówił Holmes po chwili — że przeceniam liczbę członków, może jest ich tylko dwóch lub trzech. Na każdy sposób spodziewam się, bez względu na to, ilu ich tam jest tych drabów — wyłapać ich wszystkich i raz na zawsze unieszkodliwić!

— A jak pan przyszedłeś na to, że banda nosi firmę „Błędne Ogniki Czerwonego Bagna“? — zapytał mr. Bradford z zajęciem. Bo jeżeli pan znasz już ich nazwę — to, jak przypuszczam — musisz znać także pewne ślady — pewne wytyczne.

— Nazwę tej „firmy“ znam już od pół roku — mówił Holmes z kamiennym spokojem, wyjąwszy fajkę z ust i wpijając swe bystre szare oczy w twarz redaktora.

Dowiedziałem się zaś jej w bardzo ciekawy i oryginalny sposób.

Ścigałem wtedy w Paryżu niejakiego Renarda, który był silnie podejrzany o zamordowanie pewnego holenderskiego handlarza dyamentów.

Nieszczęśliwy ten człowiek został zwabiony do Paryża listem jakiegoś agenta nazwiskiem Fuchs.

Zdradliwy list donosił mu, że jakiś amerykański nabob zatrzymał się w Paryżu i że skłonny jest do zakupienia większej ilości ładnych dyamentów, by pewnej damie, cieszącej się jego względami — kazać z nich kolię sporządzić.

Holenderczyk przybył do Paryża, był na dworcu przyjęty przez agenta. Na drugi dzień znaleziono handlarza w hotelu bez życia. Został on uduszony.

Że nikt inny, jak tylko Fuchs tej zbrodni dokonał, no — to było przecie jasne jak słońce.

Policya wytężała wszystkie siły celem schwytania zbrodniarza — ale nadaremnie!

Wtedy przybyłem do Paryża na żądanie miejscowej policyi i zająłem się spiesznie tym wypadkiem.

Zaledwie zapoznałem się pobieżnie z całą sytuacyą — przyszedłem natychmiast do przekonania, że tu tylko w grze może być Renard.

Nie będę pana nudził panie Bradford — opowiadaniem w jaki sposób udało mi się schwycić zbrodniarza, krótko i węzłowato w parę dni dostarczyłem go policyi.

W 8 dni dowiedziałem się, że Renard znajduje się jeszcze w Paryżu i by być zupełnie bezpiecznym, nie łaził nigdy inaczej przebrany — jak za policystę francuskiego.

No — wreszcie — jak powiadam ująłem go.

Ale niestety! zbrodniarz pokrzyżował moje plany przez samobójstwo, które popełnił transportowany do biura policyjnego. Kula rewolwerowa przecięła pasmo szubrawczego jego żywota. Umarł nie będąc już w stanie mówić. Nie mogłem się zatem dowiedzieć od niego gdzie ukrył dyamenty.

Rewizya osobista i domowa nie dała również żadnego wyniku. Górna część ramienia jego była wytatuowana literami B. O. C. B. To mnie naprowadziło myśl, że zbrodniarz musiał należeć do jakiegoś tajnego towarzystwa.

Potem udałem się do jego domu, gdzie wywęszyłem listy stwierdzające, że jakiś holenderczyk imieniem Van Swieten brał udział w łupiestwie kosztowności.

Zatelegrafowałem natychmiast do policyi w Amsterdamie by przytrzymała go.

Uskuteczniono to natychmiast.

I — patrzajcie! Zarówno i Swietan odebrał sobie życie za pomocą silnej dawki trucizny!...

Przez dziwny zbieg okoliczności, jak mnie o tem policya w Amsterdamie poinformowała, były na jego ciele tesame znaki wytatuowane: B. O. C. B. Teraz byłem już przekonany, że rozchodzi się tu o tajny związek.

Ale nie mogłem sobie objaśnić, co te litery mają za znaczenie?

Tymczasem przez rewizye odbyte w mieszkaniach Van Switena i Renarda przyszły władze do wniosku, że w grze tu jest pewien znany paryzki poser (przechowujący skradzione przedmioty).

Skonstatowałem, że Renard był z nim w ścisłych stosunkach i uważałem za wskazane zwrócenie baczniejszej uwagi na mieszkanie posera.

Wprawdzie wiedziałem niemal z pewnością, że człowiek ten nie brał bezpośredniego udziału w zamordowaniu holendra — niemniej przeto spodziewałem się znaleźć tam listy i papiery, mogące mi być cenne, a ważną wskazówką w dalszych dochodzeniach.

I istotnie! Teorye moje potwierdziły się niestety! Renard stał w bardzo blizkich stosunkach ze złodziejami, a w piwnicy jego był formalny magazyn złotej i srebrnej zasady. Na jednym z nożów, zobaczyłem ku wielkiemu zdziwieniu wyryty na trzonku napis: „Błędne Ogniki Czerwonego Bagna!“. Ponieważ początkowe litery zgadzały się w zupełności z inicyałami tatuowanych ramionach dwóch zbrodniarzy — uważałem za rzecz pewną, że to jest nazwa owej zbrodniczej bandy, której zdemaskowanie i unieszkodliwienie za cel sobie wziąłem.

Pomimo moich usiłowań — doznałem tu w Nowym Jorku kompletnego fiaska.

Ale teraz nie tracąc czasu postanowiłem w innych krajach próbować szczęścia w tym kierunku. Dla tego odjeżdżam już jutro zrana z wiernym moim pomocnikiem Harry Taksonem do Anglii.

Koniec końcem jest Londyn centralą zbrodniarzy i może tam właśnie uda mi się —

Holmes przerwał nagle i rozłożył się niedbale

w fotelu z taką miną, jakby go w życiu nic więcej nie obchodziło oprócz palenia swej fajki i puszczanie z niej kunsztownych kółek z dymu.

Do drzwi mianowicie zapukano cichutko i woźny „Worlda“ wsunął się nieśmiało do gabinetu.

— Proszę wybaczyć panie redaktorze, jeżeli przeszkadzam w tej chwili — rzekł woźny — ale oddano mi oto list z poleceniem natychmiastowego doręczenia go panu.

— Kto go przyniósł? — zapytał mr. Bradford.

— Jakiś czerwonowłosy obdarty chłopak.

— Cóż taki chłopak mógłby mi za wiadomości w liście udzielić? — rzekł Bradford z niejakiem zniecierpliwieniem biorąc pismo z rąk woźnego. — Czyż jest to coś tak ważnego, by mi aż przeszkadzać w rozmowie z tym panem?

— Rudy chłopak powiedział, że list ten musi być panu natychmiast doręczony, jeżeli dziennik nasz nie chce w jutrzejszym numerze pominąć nadzwyczajnej senzacyi!

— Dobrze, idź pan!...

Gdy służący oddalił się z oznakami czci i czołobitności przeczytał redaktor ów list, przeprosiwszy poprzód Holmesa.

— Ach! rzeczywiście, to jest nowa i wielka senzacya! — zawołał przerzuciwszy okiem pismo — ale zaledwie mogę uwierzyć, by byli w Nowym Jorku ludzie, do tego stopnia znudzeni życiem, by je tak lekkomyślnie stawiać na kartę za cenę kilku tysięcy dolarów! Zapraszam pana, panie Holmes jeszcze przed pańskim odjazdem na bardzo ciekawe widowisko, ale musimy się spieszyć, byśmy za późno nie przyszli!

— Która godzina teraz?

— Brakuje 25 minut do 12-tej — mamy jeszcze czas! Proszę, pójdź pan ze mną, po drodze opowiem panu, o co się rozchodzi! — rzekł mister Bradford podniecony biorąc za kapelusz.

Redaktor nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Niezadługo wpadł do gabinetu referent działu wiadomości lokalnych.

— Pan mnie wołał, panie redaktorze! Co jest nowego?

— Mój kochany panie Holdin, proszę zarezerwować dla mnie z jakie 60 wierszy druku, zdaje się, że dostarczę panu tej nocy niezmiernie ciekawego artykułu!

— 60 wierszy! — odpowiedział mr. Holding — to prawie niemożebne! Musielibyśmy w takim razie opuścić sprawozdanie z posiedzenia —

— Skrócić je! — zawołał szef wychodząc z detektywem.

— Ach! jesteś pan, panie Braddon!

Te słowa odnosiły się do pierwszego rysownika „Worlda“, który miał za zadanie ważniejsze wypadki illustrować.

— Panie Braddon! — mówił szef dalej — jedź pan natychmiast na Brooklyn-Bridge. Punt o 12-tej musisz pan tam być na miejscu! Weź pan naturalnie i aparat fotograficzny ze sobą. Spotkamy się na moście.

— Co się pana tyczy mr. Goodman — zwrócił się do trzeciego współpracownika, naczelnika administracyi dziennika — Zkonsygnuj pan wszystkich kolporterów i roznosicieli na jutro rano. Dziennik jutrzejszy wyjdzie prawdopodobnie w olbrzymim nakładzie. Zawiadom pan drukarnię, że bijemy tego numeru o jakie 100.000 egzemplarzy więcej jak zwykle. A teraz do pracy moi panowie! World przyniesie jutro senzacyę, budzącą zazdrość w innych dziennikach. Dobranoc!...

W minutę później zjechali na dół windą i na ulicy wskoczyli do jednego z pojazdów, będących stale, dniem i nocą do rozporządzenia współpracowników i reporterów olbrzymiego tego wydawnictwa.

— Dokąd-że to panie redaktorze? — zapytał Holmes siadając wygodnie obok Bradforda.

— Na Brooklyn-Bridge! — brzmiała odpowiedź.

Dorożkarz popędził konie i ruszył w szalonym tempie ku sławnej Brooklyn-Bridge, którą ze słusznością można by nazwać „ósmym cudem świata“.

ROZDZIAŁ II.

Skok z Brooklyn-Bridge.

— No, jesteśmy jeszcze na czas! — krzyknął Bradford patrząc na zegarek — dłużej nad 20 minut nie będziemy jechać przez most!

— Powiedz mi pan — rzekł zwracając się do detektywa — czy nie znasz pan czasem Steve Brodie?

Holmes zaprzeczy głową.

— Nie słyszałem jeszcze nigdy tego nazwiska! — odpowiedział po krótkim namyśle.

— I ja nie — odpowiedział mr. Bradford. — Jest to młody człowiek lat około 25, który chce dzisiaj wykonać coś, przy czem życie swoje ryzykuje, ale jeżeli mu się uda — stanie się od razu sławnym człowiekiem na całą Amerykę!

Dotychczas nie udało się jeszcze nikomu wykonać szczęśliwie skoku z mostu Brooklyn na East River.

Ja sam prowadziłem dość dokładną statystykę, ilu to szaleńców zginęło w ten sposób w głębokich nurtach. Dotychczas było 47 tych waryatów, a obecny Steve Brodie pędzie 48-mym, który zginie!

Bez wątpienia! moim obowiązkiem jako dziennikarza jest podać moim czytelnikom zaraz zrana senzacyjny opis w jaki sposób ten nieszczęśliwy utonie lub roztrzaska łeb swój o zwierciadło wody. Tu zresztą mam list, który właśnie w pańskiej obecności odebrałem — mówił mr. Bradford dalej — proszę, panie Holmes, niech go pan zobaczy!

Holmes czytał głośno:

Szanowny Panie Redaktorze!

„Podpisany ośmiela się zaprosić Pana na dzisiejszą noc na most Brookłyn, skąd mam zamiar wykonać śmiertelny skok na East River.

Jestem młodym człowiekiem, liczę lat 23, nie mam jednak żadnych widoków, by w inny sposób zdobyć sobie środki do egzystencyi i chętnie zarobiłbym 10.000 dolarów, które mr. C. M. Bergley przeznaczył w testamencie swoim dla tego, który szczęśliwie skok ten wykona.

Proszę Pana na wszystko, byś nie robił żadnego doniesienia do policyi o moim zamiarze i zdaję się zupełnie w tym względzie na Pańską znaną mi dobrze dyskrecyę.

Pozostaję z wysokim szacunkiem i w oczekiwaniu niezawodnych Pańskich odwiedzin o północy na moście Brooklyn — uniżony sługa

Steve Brodie“.

— Ach! tu jest jeszcze dopisek! -- zawołał Holmes — Cóż on chce jeszcze?

N. B! Spodziewam się zresztą, że i redakcya Worlda będzie się znała na rzeczy, jeżeli eksperyment mój powiedzie mi się. Otrzymam, jak sądzę odpowiednie honorarium za senzacyjny materyał sprawozdawczy, którego Pańskiemu dziennikowi dostarczę, przy czem nadmieniam, że „World“ jest jedyną gazetą, którą o moim zamiarze uwiadamiam“.

— Steve Brodie nie myli się — rzekł mr. Bradford — gdyż, jeżeli żywym wyjdzie z tej karkołomnej próby otrzyma z redakcyi jako honorarium okrągłe 2.000 dolarów.

— Ten skok z mostu, to niezły interes, jak się pokazuje — odrzekł z uśmiechem Holmes. — Jak jednak sprawa stoi z owymi 10.000 dolarów, o których w tym liście jest mowa? Czy to prawda o owym zapisie?

— Święta prawda! — odpowiedział mr. Bradford.

— Nazywają Amerykę krajem nieograniczonych dziwactw i niemożliwości, ja jednak nadałbym mu nazwę „kraju nieograniczonych szaleństw“!

— At, n. p. taki C. M. Bergley jest przez swój nierozumny zapis—już dotychczas przyczyną śmierci 47 ludzi!

— No, a czyż policya nowojorska nie przeszkadza nikomu w wykonaniu tego szalonego planu? — zapytał detektyw.

Byłoby to jej obowiązkiem, jak sądzę!... Czyż nieprawda panie Bradford?

— Tak! Policya przeszkodziłaby temu z pewnością, gdyby ogółem doszło to do jej wiadomości! — odparł Bradford — Czytałeś pan sam ów list, panie Holmes — w którym Steve Brodie zobowiązuje mnie, żebym o jego zamiarze nie doniósł władzom.

— Przyjacielu Bradford! — odparł Holmes, kładąć mu swoją delikatną, wypielęgnowaną dłoń na ramieniu — zdaje mi się, że mimo tego byłoby jednak twoim obowiązkiem uwiadomić policyę, ażeby uratować życie tego lekkomyślnego młodzieńca.

— Mój kochany Holmes! — odparł redaktor równie poważnie — Jestem w pierwszej linii naczelnym redaktorom Worlda, jestem publicystą, i jako taki mam obowiązek — każdą interesującą senzacyę podać jak najprędzej publiczności. Do piero potem jestem przyjacielem ludzkości, ale w żadnym razie nie szpiclem policyjnym, która ma obowiązek przypominać jej o tem, o czem sama pamiętać powinna!

Przeciwnie! Cieszę się bardzo, że z mojego dziennika dowie się policya, że dzisiejszej nocy znowu ktoś skoczył z mostu w East River, a panowie detektywi zgoła nic o tem nie wiedzieli!

Ale oto jesteśmy na moście! Proszę pana, panie Holmes nie powstrzymywać tego człowieka w jego zamiarze!

Natrafiłbyś pan z pewnością na najzaciętszy protest, a może i czynny opór zgromadzonych tłumów, a interwencya twoja i takby nic nie pomogła, bo jeżeli Steve Brodie ma ochotę z mostu kark złamać, to, gdy mu przeszkodzą w tem dzisiaj — uczyni to z pewnością jutro!

Powóz zatrzymał się i obydwaj przyjaciele weszli na kolosalny most; zapełniony już nieprzeliczonemi tłumami ciekawej publiczności.

W istocie! Mało jest budowli na świecie imponujących strukturą swą i ogromem jak ów most Brooklyn! Rozciąga się on nad wielką zatoką morską, a żadne słupy nie podpierają go, tak, iż wisi formalnie w powietrzu. Wykonany cały z kutego żelaza, może utrzymać na sobie niesłychane ciężary. I tak przebiega przezeń linia kolei żelaznej, szyny kilku tramwajów elektrycznych, przebiegają przez niego ciężkie wozy ładunkowe, oprócz tego są ulice zarezerwowane dla pieszych przechodniów. I tak wisi ten kolos nad East River w wysokości przeszło 36·6 metrów nad powierzchnią wody.

Nic dziwnego, że dotychczas nie udało się nikomu wykonać żywcem karkołomnego skoku w dół.

Woda jest z natury swej bardzo elastyczna i łatwo ustępuje pod naciskiem innego ciała. Ale potężny prąd, szalona wysokość, z której rzut ma nastąpić — nadaje powierzchni wody twardość i opór płyty pancernej, o którą rozbija się ciało z góry zrzucone.

Steve Brodie nie robił wcale wrażenia człowieka, który rzeczy swojej jest zupełnie pewny.

Był on otoczony całą zgrają swych przyjaciół rekrutujących się z najniższych i najciemniejszych sfer społeczeństwa, gdyż i on sam pozbawiony pracy był kompletnie moralnie upadłym człowiekiem, ulicznym włóczęgą w wielkiem mieście, nieszczęśliwą istotą, którą zwątpienie popchnęło do tak ryzykownego kroku.

Był to średniego wzrostu blondyn o dość silnie rozwiniętej muskulaturze, o zdrowej cerze twarzy, która jednak teraz pobladła z nadmiaru wzruszenia i niepewności o życie.

Przy boku jego stała młoda dziewczyna i zanosiła się od płaczu.

— Nie, ja nie pozwolę na to, Steve — mówiła głosem przerywanym od płaczu — nie będziesz skakał, to byłoby pewną śmiercią twoją!

— Bądź cokolwiek rozsądniejszą Mery! — odpowiedział Steve Brodie łagodnie — powiedz, co dla mnie jest warte to przeklęte życie pędzone w takiej nędzy i upodleniu? W tych warunkach nie mogę żyć, nie mówiąc już o poślubieniu cię! 10.000 dolarów otrzymam, jeżeli mi się uda plan mój wykonać, potem poślubię cię i możemy żyć szczęśliwie i spokojnie!... No, a teraz do mnie przyjaciele! Włóżcie mi buty, które specyalnie sprawiłem sobie do tego skoku.

— Co to są za buty? — zapytał z ciekawością Bradford, przeciskając się ku Brodiemu z Holmesem.

Steve Brodie przywitawszy się z nimi objaśnił ich pokrótce z tajemnicą owych butów.

Otóż cały nieskomplikowany zresztą pomysł polegal na tem, że podeszwy obuwia były obciążone kilkunastu funtami żelaza, tak, że Brodie wskakując musiał natychmiast wskutek znacznej swej wagi pójść na dno. Poprzednicy jego, którzy nie zwracali uwagi na tę okoliczność, lecz rzucali się w wodę na płask całem ciałem lub głową musieli się w straszny sposób porozbijać z wyżej już przytoczonych powodów. Na tych butach polegała jedyna nadzieja śmiałego skoczka.

Steve Brodie wdział już owe buty i zbliżył się na kraj mostu gotów do skoku.

— Stój! — krzyknął Szerlok Holmes. — Czy przygotowano wszystkie środki ratunku na wypadek, gdyby Brodiemu skok się nie udał? Czy są na dole łodzie ratunkowe i ludzie, którzyby go na brzeg wyciągnęli?!

Oczywiście, że nie pamiętał nikt o tem, by w danej chwili dać pomoc nieszczęśliwemu szaleńcowi.

Poczciwy Holmes zszedł więc ze swym przyjacielem dziennikarzem na dół po schodach i odwiązawszy od brzegu łódź ratunkową podpłynęli w to miejsce, gdzie przypuszczalnie spaść mógł w wodę Brodie.

— Boże! Bądź mu miłościw! — szepnął Holmes spojrzawszy w górę i ujrzawszy, że Brodie jest już zupełnie gotów i lada chwila rzuci się w otchłań.

Na znak, że „asekuracya“ na dole czuwa — wypalił Bradford z rewolweru.

— Skacze!... pada!... — zawołał dziennikarz ze wzruszeniem.

— A, otóż pochłonęła go już woda — dodał Szerlok — miał słuszność co do swych żelaznych butów, wpadł prosto, jak kula!

Zawirowało w miejscu, gdzie nurek zniknął pod wodą.

— Baczność! – krzyknął detektyw — naprzód za nieszczęśliwym!

Całą siłą powiosłowano po burzliwych falach, grożących każdej chwili wywróceniem łódki.

— Chwytaj go Bradford!

Dzielny dziennikarz przegiął się całem ciałem przez brzeg łódki i siłą stalowych swych muskułów, z narażeniem własnego życia, zdołał z największem natężeniem wciągnąć do łodzi Brodiego. Obydwaj zacni ratownicy skonstatowali pospiesznie na razie, że żyje, że serce działa i żadnych zewnętrznych, silniejszych kontuzyi nie odniósł.

— No, musiał się porządnie poobijać, to nie ulega wątpliwości! — mówił Szerlok Holmes — ale dzięki Bogu żyje i wyszedł cało z wody. Oby był jednak ostatnim, który czegoś podobnego próbuje!

— Czy żyje? Czy udało mu się?! — pytał, ryczał raczej rozgorączkowany i zaciekawiony tłum.

Holmes wstał w łodzi i potężnym głosem zawołał:

— Żyje! Jest cały i zdrów! Wiwat Steve Brodie, bohater mostu brooklyńskiego!!...

— Niech żyje bohater mostu broklyńskiego! — zawołała publiczność entuzyastycznie, a do radosnego tego okrzyku przyłączyli się nawet policyanci.

— Przenieśmy go na brzeg! — rzekł Bradford.

— Czy jeszcze jest ciągle nieprzytomny? — zapytał Holmes.

— Zdaje mi się, leży z zamkniętemi powiekami, pięści ma silnie zaciśnięte.

— Trzeba mu palce roztworzyć, to prędzej miną kurcze!

Przy tych słowach uklęknął Holmes przy omdlałym i otworzył mu łagodnie najpierw lewą, a potem prawą rękę.

— Co to jest?! — krzyknął nagle zdumiony — Oto znalazłem w jego ręku kurczowo zaciśniętą tę małą, metalową puszkę! Szczególniejsza rzecz!

Holmes wydobył prędko ze swojej kieszeni podręczną latarkę elektryczną i oglądał z ciekawością znaleziony przedmiot.

— „B. O. C. B.“! — wymknęło się nagle z ust jego — Tajemnicze inicyały, które od miesiąca już spać mi nie dają i czujność moją trzymają w naprężeniu! Te litery — patrzaj pan! — są wyryte na puszce!

— Otwórz-że pan puszkę! — zawołał Bredford drżącym ze wzruszenia głosem — „B. O. C. B.“, to znaczy bez kwestyi „Błędne Ogniki Czerwonego Bagna“! Ach! mr. Holmes, może w tej puszce znajdziesz pan, to, czego od tak dawna szukasz: ślad wielkiej, międzynarodowej bandy zbrodniarzy!...

Holmes zbladł na twarzy.

Ręka jego drżała gdy małemi, stalowemi rączkami otwierał puszkę.

Zwitek pergaminu wypadł z niej.

— Jest tu kilka słów skreślonych w żargonie zbrodniarskim — ach! to wspaniałe odkrycie! — szepnął Holmes zachwycony.

— Prędko przyjacielu Holmes!.. Odczytaj papier! Drżę z niecierpliwości!

Delikatny uśmiech okrążył wązkie usta detektywa podczas gdy pergamin wsunął napowrót do puszki i schował ją do kieszeni.

— Proszę, nie gniewaj się pan, kochany panie Bredford! — odpowiedział Holmes — ale jak sam pan powiedziałeś, jesteś w pierwszym rzędzie naczelnym redaktorem „Worlda“, jesteś pan publicystą i jako taki masz obowiązek raczyć swą publiczność senzacyami przy rannej kawie! Mógłbyś pan zbyt łatwo uledz pokusie poczęstowania czytelników i tym smacznym tłustym kąskiem! Dla tego wolę treść tego dokumentu zachować na razie dla siebie. Jest to tajemnica mego zawodu, a podstawą powodzenia detektywa – jest milczenie i dyskrecya.

— Jesteś pan okrutnym, panie Holmes! — zawołał mr. Bradford — Od 4 tygodni zaprzątasz mój umysł —

— Daruj pan, ale jeszcze z 4 dalsze tygodnie zaprzątać będę. Jeżeli w tym czasie odkryję i unieszkodliwię „Błędne Ogniki“, to daję panu słowo, że „World“ będzie pierwszą i jedyną gazetą, która przyniesie o odkryciu mojem telegram.

— Przyjmuję z wdzięcznością obietnicę i nie wątpię w jej spełnienie! — zaśmiał się redaktor i uścisnął serdecznie dłoń wielkiego kryminalisty.

Łódka przybiła tymczasem do brzegu, i wkrótce Brodie, który już przyszedł był do siebie — znalazł się w towarzystwie swych przyjaciół i objęciach narzeczonej. Piękna dziewczyna łkała ze szczęścia, gdy Steve spojrzał na nią wielkiemi oczyma i rzekł:

— Jedno przyrzekam ci Mery. Nie skaczę już po raz drugi z mostu Broklyńskiego, żebym nawet i milion miał zarobić! O! jakżeż tam strasznie na dole! Sądzę, że pociąg pospieszny nie zjechałby tam z taką szybkością, jak ja! No, ale teraz — kończył słabym głosem — teraz jestem na drodze do majątku!

Potem odetchnął dzielny skoczek ciężko, zamknął oczy i popadł na krótki czas w omdlenie.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Steve Brodie obudził się nazajutrz w swojej nędznej izdebce — jako sławny człowiek!

W Ameryce można szaleństwem lub głupstwem, byleby tylko dość ekscentrycznem i śmiałem dojść do niepośledniej sławy i majątku.

Następnego dnia przyniósł „World“ w wybornie napisanym artykule wraz z portretem Brodiego — opis senzacyjnych wypadków zeszłej nocy.

New Jork szalał z uniesienia, inne dzienniki wściekały się formalnie, ponieważ znowu zostały w tyle za „Worldem“ i teraz chciały powetować sobie klęskę ogłaszaniem coraz to nowych szczegółów z życia bohatera mostu broklyńskiego.

W ten sposób stał się Steve Brodie sławnym na całe Stany Zjednoczone.

Otrzymał 10.000 dolarów zapewnione mu w testamencie półgłówka Barkleya, World wypłacił mu niezależnie od tego 2.000 dolarów tytułem „honorarium“, a pomysłowy jakiś nakładca wydał broszurę o nim, rzekomo przez niego samego napisaną, chociaż Brodie nie potrafiłby porządnie trzech zdań rzucić na papier. Broszura przyniosła mu jednak pokaźny dochód. Prezenta, kosztowności i pieniądze posypały się na niego teraz jak z rogu obfitości. Pochodziły one od „wielbicieli“ jego „talentu“ (?), których większą część stanowiły znane ze swej ekscentryczności piękne amerykańskie miss i ladies.

Wreszcie dyrektor jakiegoś teatrzyku wystawił sztukę mającą za przedmiot ów historyczny skok z mostu.

Brodie brał sam udział w przedstawieniu i rzucał się na scenie z mostu w morze, lub inaczej z małego rusztowania na kulisie, na miękki materac, co oczywiście zupełnie zakrytem było przed oczyma widzów i ci mieli wrażenie strasznej rzeczywistości podtrzymane i umocnione jeszcze wspaniałą wystawą i prześlicznemi dekoracyami.

I to przedsiębiorstwo przyniosło mu największej dochodu. W ciągu pół roku stał się Brodie, jak powiedzmy człowiekiem bardzo bogatym, zakupił kilka domów i założył wielki salon restauracyjny w którym roiło się zawsze od gości, gdyż nawet w wiele lat później było wielu ciekawych, którzy chcieli widzieć i mówić z nim — z „bohaterem mostu broklyńskiego“.

Nadmienić należy, że ukochaną swoją Mery — Tak jest! Ukochaną, poczciwą Mery — porzucił. Nie chciał wiązać sobie przyszłości biedną dziewczyną, stosunek z nią zbyt mu ciążył — jak z całą otwartością wyznał to dziewczynie.

Ani prośby, ani łzy nie pomogły nic uwiedzionej.

Mery zrozpaczona, ze strasznem przekleństwem na ustach opuściła wiarołomnego kochanka.

ROZDZIAŁ III.

Dzieci puszty.

Przez wielką pusztę, podobną do szumiącego morza, gdzie zamiast fal wiatr olbrzymie łany traw kołysał, oddaleni o kilka godzin drogi od miasteczka Szegedinu — szli dwaj cyganie.

Jeden z nich był wysoki i chudy, miał długą czarną brodę sięgającą mu prawie aż do pasa, twarz śniadą, wśród której — co dziwne u cygana — świeciły stalowe oczy. Drugi zaś był to młody, prawie dziecinnie wyglądający chłopiec.

Ubiór wędrownych cyganów był obdarty i zniszczony nie mniej jednak malowniczy i fantastyczny, któremu zwłaszcza pewnego uroku nadawały długie, szare płaszcze zwieszające im się z ramion.

Ze skórzanej torby, wiszącej u pasa młodszego cygana, wyglądały skrzypce i trąba blaszana.

Byli to snać muzykanci.

Ciekawa rzecz była, gdzie właściwie zamyślali grać ci wędrowni artyści, gdyż naokoło nie było żadnego miasteczka ani wsi i od wielu godzin nie zjawił się na widnokręgu puszty ani jeden człowiek.

— Czy jesteś zmęczony mój Harry? — zwrócił się starszy do swojego młodszego towarzysza.

Było to dziwne imię dla węgierskiego cygana

ale co dziwniejsza, że starszy mężczyzna nie posługiwał się mową cygańską, ale odzywał się w najczystszej angielszczyźnie.

Ale tu byli zupełnie „między sobą“, zupełnie nie żenowani w tej samotnej puszczy, nikt ich podpatrzeć, ani podsłucheć nie mógł!...

— Nie skarżyłem się Mistrzu, dotychczas — odrzekł młodszy — ale czuję, że istotnie siły moje są na wyczerpaniu. Uważ tylko, że w ten sposób wędrujemy od samego Szegedinu!

— To trudno, mój mały, nie można było inaczej! Jako biedni, wędrowni cyganie nie możemy przęcież jechać automobilem! Niestety! musimy w ten sposób iść aż do północy.

Młodzieniec westchnął.

Żal się zrobiło Holmesowi dzieciaka i zaproponował krótki spoczynek.

Tam, gdzie się zatrzymali była to dość duża jama wygrzebana w ziemi. Jamy takie wykopują sobie wilki na schroniska nocne. Wędrowni upewnili się najpierw, czy tych groźnych, czworonożnych gospodarzy nie ma w jaskini.

O niedawnej ich bytności świadczyły bielejące na piasku kości końskie i niedojedzone szczątki tych zwierząt — na razie jednak — wilków nie było.

Holmes wyjął z podróżnej torby zapasy żywności składające się z zimnego mięsa, chleba kondyzowanego mleka i koniaku — i obaj zabrali się z apetytem do spożycia tych specyałów pod wolnem niebem węgierskiem.

Potem zapalił Holmes krótką swoją fajeczkę i wyciągnąwszy się wygodnie na piasku mówił:

— Wiesz o tem Harry, że już od dłuższego czasu śledzę za członkami bandy noszącej tajemnicze miano: „Błędne ogniki Czerwonego bagna“

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się, że w nocy z 16-go na 17-go maja zamierzają zejść się wszyscy, zapewne celem ułożenia programu dalszych łajdackich zamachów na cudzą własność, a może i podzielenia się łupami, lub załagodzenia jakichś sporów między członkami bandy.

— Oto patrz, kochany Harry! — mówił dalej sięgając do kieszeni podartego swego kaftana — w tej metalowej puszce, którą znalazłem swego czasu w zaciśniętej dłoni skoczka z mostu broklyńskiego — w tej małej puszce mieści się cała tajemnica.

Przedewszystkiem zwracam ci uwagę, że treść tego kawałka pergaminu spisana jest w tak zwane żeganie zbrodniarzy.

Przełożenie tych słów nie przyszło mi wcale z trudnością, a i ty mój drogi Harry mógłbyś jak przypuszczam odcyfrować tę łamigłówkę. A więc prędko czytaj, co tu napisane.

Harry Takson czytał półgłosem:

„Charusso Kirelja maro Carda Kirally 16 – 17 Manda malea Esserye durbi. — B. O. C. B.“.

To można bez żadnych trudności przełożyć: „Zgromadzenie wielkiego Związku i czardzie światła między 16 a 17-tym miesiąca maja. Ważne sprawy. B. O. C. B.“.

— Rozwiązałeś my dear! — zaśmiał się spokojnie Holmes — a owe cztery litery nie oznaczają nic innego, jak: „Błędne ogniki Czerwonego bagna“!

Krótko, a węzłowato: Dzisiejszej nocy mają się zejść te łajdaki w „Czardzie światła“.

Przypominasz sobie, że jeszcze tej samej nocy, gdy ten waryat skoczył z mostu broklyńskiego do morza, spakowaliśmy nasze rzeczy i na łeb na szyję udaliśmy się na kontynent i najbliższą drogą przez Budapeszt i Szegedin jako cyganie na węgierskie puszty?...

Holmes pociągnął kilka razy ze swej fajeczki i kierując stalowe oczy na Taksona, rzekł:

— Jak myślisz? Dlaczego zacne to towarzystwo nie obrało sobie innego miejsca spotkania, jak naprzykład Berlin, Wiedeń, albo Nowy Jork, tylko właśnie puszty węgierskie?

Harry zawahał się i rzekł potem:

— Zdaje mi się mistrzu, że na tych rozległych i pustych przestrzeniach czują się chyba bezpieczniejszymi niż w wielkich ludzkich środowiskach!...

— Trafiłeś jak kulą w płot! — zaśmiał się detektyw — w kombinowaniu nie doszedłeś jeszcze mój drogi do perfekcyi! Mają oni inny i bardzo słuszny powód, a mianowicie spodziewają się obfitego połowu na węgierskich pusztach.

Młody famulus to bladł, to czerwieniał kolejno, słysząc naganę z ust swojego mistrza, a potem zaczął, smutnym, niepewnym głosem:

— Nie wiem mistrzu, czy zasłużyłem rzeczywiście na twoją naganę, ale — nie mogę sobie tego wyobrazić, na jaki obfity połów mogliby na tej pustyni reflektować?

Holmes wytrapał krótką swoją fajeczkę i podniósł się.

— Usłyszysz to na własne uszy, z ich wła-

snych ust, my boy, usłyszysz jeszcze dziś o północy!... No, ale teraz czas nam w drogę! Nie martw się! Nagana moja, jak ją nazywasz wcale nie była seryo pomyślana. Jestem przekonany, że zaledwie jeden na tysiąc detektywów byłby mi w stanie dać odpowiedź na tę kwestyę.

— A czy ty mistrzu? Mógłbyś mi tę kwestyę wyjaśnić? Dlaczego „Błędne ogniki Czerwonego bagna“ obrali sobie węgierskie puszty na miejsce spotkania?

— Tak, mój chłopcze, mogę! — zaśmiał się Holmes swobodnie — objaśnię ci to jednem jedynem słowem!

— Jak brzmi to słowo? zapytał Harry z ciekawością przerzucając za plecy torbę ze skrzypcami.

— Vanderbild! — odparł Szerlok Holmes.

ROZDZIAŁ IV.

Napad w Czardzie.

W czardzie Kyraliy, gdzie obydwaj detektywi zjawili się o północy — panowało wesołe i gwarne hulaszcze życie.

Holmes i Takson zajrzeli przez małe okienka do gospody.

Ujrzeli około 20 gości siedzących przy małych stolikach.

Byli to handlarze koni, wędrowni kramarze, którzy korzystali z dobrej sposobności, by noc przepędzić pod dachem, ponieważ droga w nocy w pusztach węgierskich nie należy wcale do bezpiecznych. Cztery czarnookie dziewczęta uwijały się między gośćmi, pijąc z nimi wino, paląc tytoń i śpiewając. Przez otwarte okna biegły tylko wesołe odgłosy rozbawionych gości.

— Zdaje mi się, że widzę swoich ludzi! — szepnął Holmes w ucho Taksonowi. — Czy widzisz tam przy tym okrągłym stoliku w rogu tych pięciu mężczyzn, z których wyglądu zaraz poznać można, że nie należą do tego towarzystwa.

Jeden z nich robi wrażenie handlarza bydła. Prawdziwy byk w ludzkiej postaci. Czerwona jego cera twarzy nie jest niczem innem jak zręcznie nałożoną szminką.

Drugi, który siedzi naprzeciw niego, wygląda jak malarz — trzeci przybrał sobie pozory komiwojażera angielskiego. Co się tyczy czwartego i piątego, mieli ci łobuzy bezczelność przywdziać mundury austryackich oficerów kawaleryi. Zapewne udają, że są na wywiadczej podróży przez węgierskie puszty.

To jest z pewnością cała banda, której szukam i którą dzisiejszej nocy musimy ująć!...

Aczkolwiek wszyscy przebrali się i ucharakteryzowali bardzo starannie, to poznał jednak Holmes przynajmniej dwóch z nich, jako niebezpiecznych bandytów.

Rzekomy handlarz bydła pobudzał zwłaszcza czujność detektywa, gdyż Szerlok Holmes miał go w silnem podejrzeniu, że pod maską tą kryje się nie kto inny, jak niebezpieczny zbrodniarz.

Tomerfield, znany w kołach przestępców pod pseudonimem: „wuj Tom“.

Był to niegdyś człowiek zamożny i trudnił się handlem cygar w Berlinie.

Potem atoli upadał moralnie coraz niżej, a obecnie miał na swem sumieniu: oszutwa, fałszerstwa dokumentów, ciężkie włamania, a nawet dwa morderstwa.

Niestety! nie udało się nigdy berlińskiej policyi pochwycenie tego ptaszka.

Wuj Tom zniknął przed dwoma laty z Berlina i od tego czasu słych o nim zaginął.

Drugi z owych pięciu obrodniarzy, był dobrze mu znany przestępca z londyńskiej Dzielnicy Whiteshaple.

Należał on do t. zw. „piaskarzy“, którzy w Londynie w ten sposób zabijały swe ofiary, że napadali je z tyłu i workiem napełnionym piaskiem powalali na ziemię.

Ale i ten człowiek, podróżny malarz wzbudził podejrzenia detektywa.

— Czy to nie jest czasem Garnier? — zapytał Szerlok Holmes sam siebie — groźny niegdyś naczelnik paryskich apaszów. Jeden jedyny ze zbrodniarzy, któremu udało się uciec z rąk władzy gdyż reszta jego kolegów pokończyła na szafocie.

Przedewszystkiem detektyw widział jasno, że pięciu ludzi siedzących przy stole to są członkowie tajnego związku zbrodniarzy noszących miano „Błędnych Ogników Czerwonego Bagna“, którzy zebrali się w puszcie, by wykonać niebywałe jakieś dzieło zniszczenia.

W tej chwili jeden z oficerów ujrzał przez okno cyganów,

— Hallo! cyganie przyszli, jeżeli się nie mylę! — zawołał z żywością.

— A! moi państwo! — zawołał również wesoło gospodarz — teraz będzie wesoło! Dalej chodźcie tu czarne dyabły, grajcie i śpiewajcie co macie siły w gardłach i smyczkach!...

— Już my wam zagramy! — szepnął Szerlok Holmes do swego towarzysza.— Pójdź mój chłopcze! Musisz udawać zamkniętego w sobie i milczącego, ja już otworzę gębę i będę łgał jak cygan, zwłaszcza, że po cygańsku i węgiersku rozumiem.

Obydwaj cyganie byli z wielką radością powitani w czardzie.

Gospodarz „kulawy Janosz“ spojrzał na nich życzliwie i rzekł:

— Powiedzcie mi dobrzy ludzie skąd tu się wzięliście, bo chociaż znam wszystkich cyganów okolicznych — was nigdy jakoś tu nie widziałem!

— Dla cygana świat otworem! Cygana wabią dalekie strony! — mówił Holmes, trafiając wybornie w ton włóczęgi-grajka. — Mija nieraz dziesięć i dwadzieścia lat, zanim znowu ujrzy kochaną ojczyznę!

Z wielką bandą druhów-muzyków pociągnąłem do Rosyi.

— Tak! cygańską muzykę lubią wszędzie! — odpowiedział jeden z oficerów — tak samo i u nas w Wiedniu słuchają chętnie węgierskich muzyków, zwłaszcza, gdy do tańca grają!

Holmes skłonił właśnie czołobitnie głowę przed gospodarzem. Ale przy tem obserwował bacznie mówiącego i zauważył, że rzekomy oficer zaciąga fatalnie z czeska.

— Ale wreszcie spotkało nas wielkie nieszczęście w Rosyi.

Gdy ciągnęliśmy przez stepy, napadli nas kozacy i zrabowali nasze srebrne ruble i tłuste koniki, dobrze, że nas z życiem na pół gołych wypuścili. Uciekliśmy i wkrótce opanowała mnie niewypowiedziana tęsknota za moją ojczyzną, za temi szumiącemi puszczami węgierskiemi! Oprzeć się temu uczuciu nie mogłem.

Wtedy zabrałem ze sobą tego chłopaka — Rigo! ukłoń się panom! — napomniał Taksona — i oto jesteśmy i chcemy wam grać, rozweselać was, naszych braci rodzonych! Elien Ahaza!...

Cyganów posadzono w kącie, nastawiono przed nimi stosy paprykowanego mięsa i słoniny, nie pożałowano i wina.

Grajkowie rzucili się z udaną żarłocznością na jedzenie, które zresztą było bardzo smaczne.

Terka, Ilka i Julcsa, trzy ogniste pół-krwi cyganki, nadobne córeczki gospodarza rwały się do tańca, czarne ich oczy błyszczały namiętnie, a zgrabne, tęgie nóżki przytupywały do taktu, gdy grajkowie zaczęli stroić instrumenta.

— Grajcie cyganie! Tańczyć! — wołały rozigrane dziewczęta, a i reszta gości poparła głośno ich żądanie.

Szerlok Holmes i Harry Takson oparli się o stół, przy którym wieczerzali przed chwilką i zaczęli grać. Holmes wziął smyczek do ręki, a Harry dął przeraźliwie w trąbę.

Sławny detektyw rozumiał się dobrze na muzyce i umiał prowadzić smyczek z prawdziwie cygańskim temperamentem, wydobywając ze skrzypiec to dzikie, namiętne, to znów zduszone lub rzewne sentymentalne tony.

Wielki detektyw grał na wielu instrumentach, gdyż dosyć często był w położeniu, że musiał muzyka udawać.

Niemniej i Harry Takson trzymał się dzielnie z swoją trąbą.

Wesołość nieokiełzana i żywiołowy humor opanował wszystkich.

Dziewczęta dokazywały cudów waleczności w tańcu byleby tylko goście jaknajlepiej się bawili i jak najwięcej wina pili.

Latały z rąk do rąk, przytulały się do tancerzy, odrzucały głowę i świecącemi, zachwyconemi oczyma spoglądały ku powale.

— Prędzej cyganie — zawoła czarna Irma — grajcie więcej z ogniem, ruszajcie tak prędko smyczkiem, jak prędko krew moja w żyłach pulsuje!...

Ale w tej samej chwili, gdy Szerlok chwycił za skrzypki, by zagrać czardasza najbardziej ognistego, jakiego tylko umiał, gdy nagle otworzyły się drzwi do czardy.

Olbrzymi hajduk w zielonym, złotem szamerowanym mundurze przestąpił próg gospody.

Nie przestąpił, lecz wpadł raczej.

— Gdzie jest gospodarz czardy? — wrzasnął — nieszczęście się przytrafiło naszemu jaśnie panu hrabiemu Segeny!

To nazwisko podziałało magicznie.

Tańczący zatrzymali się nagle, muzyka cygańska umilkła, ze wszystkich stołów podnieśli się goście i otoczyli z ciekawością hajduka.

— Na mojego świętego patrona! — krzyknął kulawy Janosz — czy żartujecie?

— Fantazye pańskie, jeżeli mi tak wolno powiedzieć — odpowiedział hajduk oddychając ciężko — jaśnie państwo mają czasem także pomysły!... A ostrzegałem hrabiego, żeby sobie dał pokój z tą nocną jazdą!...

— Napijcie się szklankę wina hajduku! — zawołała czarna Etelka, podając zdyszanemu kubek. — Nie możesz tchu złapać!

— Dziękuję ci, piękna dziewczyno! Masz słuszność wyschło mi gardło jak stara studnia na puszczy, nie mogę słowa przemówić! Pędziłem całą milę, jakby całe piekło gnało za mną!...

A teraz słuchajcie, opowiem wam prędko, co się stało!...

— Wiecie wszyscy, że mój pan, hr. Segeny poślubił córkę miliardera piękną Alicyę Vanderbilt z Ameryki.

No, i ja byłem z nim w Ameryce, widziałem Nowy Jork i patrzyłem własnemi oczyma na wesele!

To był przepych! Cała Ameryka wytrzeszczała ślepia jak tam pieniądze rozrzucano! Ale nie dziwota! Vanderbilci mają tyle pieniędzy, ile pół Węgier warta, a sto milionów koron dostała moja pani w posagu!

Wróciliśmy z panią naszą do Węgier, gdzie hrabia zakupił wspaniałe dobra i zamek w sąsiedztwie Szegedynu. Lasy, pola, winnice, bydło.

— Słyszeliśmy o tem!... Mów raczej, co się stało?!

— Byłoby wszystko dobrze — mówił hajduk — gdyby hrabia i jego młoda żoneczka nie uparli się, by właśnie miodowe miesiące spędzić na starym, węgierskim zamczysku. No i w tem nie ma jeszcze nieszczęścia, gdyby znowu pani hrabina nie wbiła sobie do głowy podróży bryczką po puszcie, zamiast koleją, jak wszyscy ludzie się urządzają, a zwłaszcza powinni już to hrabiowie! Ale i to jeszcze dałoby się jakoś przenieść! Cóż z tego, gdy jaśnie pani chciała koniecznie widzieć pusztę w nocy przy blasku gwiazd. Ona jest zwaryowana na punkcie romantyczności.

Gdyśmy wczoraj wieczór wybrali się w drogę jeszcze raz radziłem, by zajechać do jakiej oberży, gdzie jest dobra kuchnia, miękkie łóżka, a przedewszystkiem nie ma wilków ani cyganów!

Ale moje przestrogi na nic się nie przydały: O ósmej wieczór wyruszyliśmy, hrabstwo w powozie, stangret i ja na koźle, a dwóch hajduków z tyłu na platformie!

Cztery konie szły w zaprzęgu. Bassa teremtete! smoki, nie konie!

Tymczasem zaczęło się chmurzyć i dyabli wzięli całą romąntykę pani hrabiny razem z gwiazdami i księżycem, których promienie — „całują kwiaty i zioła“, jak się pani wyraziła. W braku tych naturalnych a pożytecznych świateł zapaliliśmy pochodnie i dalej! jazda w puszczę, pomiędzy wilki i cygany!

Ale młoda pani przytuliła się do hrabiego i mówiła:

„O! jak to pięknie siedzieć przy tobie, mój Segeny i słuchać wycia wilków!... To jest prawdziwa romantyka!

I w tej chwili, gdy jaśnie pani wyjechała znowu ze swoją romantyką — powóz się zatrząsł, trzeszczenie i huk się rozlega i buch — leżymy wszyscy bardzo romantycznie na ziemi.

— Cóż się stało?

— Co się stało? — krzyknął hajduk z pasyą. — Nagle wyrwały się dwa koła z osi. To jest dla mnie najlepszy dowód, że grasuje tu jakaś banda opryszków. Łotrzykowie ci postarali się prawdopodobnie o to, by przed naszym wyjazdem zdjąć śróby z kół i w ten sposób spowodowali katastrofę. Obawiam się, że nie bez celu. Zapewne mają zamiar nas napaść i ograbić!...

Ale ja czas tracę na gadaniu, a tam trzeba ratować moich państwa! Gospodarzu! prędko dajcie mi wóz i konie. — —

Jezus Marya!... Jestem zamordowany! — krzyknął nagle i zwalił się na ziemię.

Wędrowny malarz siedzący w towarzystwie przy zarezerwowanym stole wyskoczył teraz na stołek.

W ręku trzymał jeszcze dymiący rewolwer.

— Ręce do góry! — zagrzmiał — kto nie chce, jak ten kulę w łeb dostać! Czarda należy do nas! Wy pójdziecie wszyscy w łyka i do piwnicy, po za tem jednak nie stanie wam się nic złego!...

— Ocho! Chcielibyśmy to widzieć! — ryknęło dwóch cygańskich pastuchów — my się nie pozwolimy — — —

Nie dokończyli.

Znowu padły strzały i znowu padły dwie ofiary na ziemię.

Potem rzucili się na obecnych i wszystkich

skrępowali nie wyłączając pięknych córeczek gospodarza: namiętnej Etelki, tęgiej Ilki i sentymentalnej Julcsi.

— He! przyjacielu Garnicz! — zawołał jeden z nich zwany wujem Tomem — jak widzę brakuje tu jeszcze dwóch osób do kompletu!...

— Dwaj cyganie uciekli! – rzekł Garnicz niechętnie – żeby oni nam tylko nie spłatali psikusa!...

— To nic! — odpowiedział drugi — dopędzę ich potem! Cyganie i tak koni nie mają i nie będą mogli oczywiście daleko uciekać! Tymczasem trzeba zwabić do czardy hrabiego z żoną!... Naprzód Błędne Ogniki Czerwonego Bagna!... Pole macie rozdzielone! Każdy wie, co ma czynić! Złoto i banknoty, a co najważniejsza wielka skórzana torba, w której hrabina trzyma nieocenione swoje klejnoty — wszystko to wpadnie w nasze ręce!

Naprzód Błędne Ogniki Czerwonego Bagna po miliony Vanderbilta!...

ROZDZIAŁ V.

Zdrajczyni.

W tej chwili otworzyły się drzwi i całkiem cichutko wsunęła się do szynkowni czardy jakaś niewieścia postać.

Czy to była włóczęga, czy upiór puszty?

Nawet najodważniejsi z bandy cofnęli się zmięszani, gdy wzrok ich spotkał się z spojrzeniem młodej kobiety.

Wyglądała rzeczywiście i strasznie i dziwacznie!

Suknie w strzępach, zlatywały z niej formalnie, była bez obuwia i z gołą głową.

Nie była to z pewnością cyganka, gdyż czerwonych włosów nie posiada żadna kobieta z tej rasy.

Włosy te piękne i obfite spadały jej ognistemi splotami na plecy.

— Kto jesteś niewiasto?! — zawołał Garnicz, naczelnik apaszów do niej, podnosząc zwolna swój rewolwer w górę.

Ale włóczęga nie dała się zastraszyć.

— Strzelaj! strzelaj! — zawołała, a oczy jej przybrały wyraz szyderstwa — zabij mnie! Nic mi nie zależy na życiu, nasyciłam się już niem dostatecznie. Ale potem będziecie wy wszyscy, wy „Błędne Ogniki Czerwonego Bagna“ bezpowrotnie zgubieni! Ja wezmę z sobą do grobu tajemnicę, która was ocalić może!

Krzyk przerażenia i oburzenia wydali zbóje.

W tym samym momencie przyskoczył Garnicz do kobiety schwycił ją za ręce i patrząc jej przenikliwie w oczy zawołał:

— Wymieniłaś nazwisko, którego sam dźwięk jest wyrokiem śmierci dla ciebie! Skąd wiesz o „Błędnych Ognikach Czerwonego Bagna“?!

Dziewczyna pasła czas jakiś swe oczy strachem bandytów, a potem rzekła z całym spokojem:

— Dajcie mi pieniędzy, dużo pieniędzy, dajcie mi część z swoich łupów, a wtedy przestrzegę was, byście nie wpadli w ręce człowieka, który zgubę wam zaprzysiągł!

— Kto jest ten człowiek?! — krzyknęli równocześnie opryszki.

— Ba! ba! W ten sposób zapytuje się tylko dzieci!...

Ja nie robiłam za darmo podróży przez kilka granic, nie na próżno żyłam wyżebranym chlebem, idąc pieszo z Hamburga do Wiednia, z Wiednia do Budapesztu, a z tamtąd do czardy Kirally w pusztach węgierskich!...

Nie mogłam być szczęśliwą przez miłość, to będę nią przez bogactwo!... Ile dajecie mi za moją tajemnicę?

— Nikt nie kupuje kota we worku! — odpowiedział wuj Tom, mrugnąwszy na innych. — Jeżeli twoja tajemnica ma rzeczywiście dla nas wartość, bądź pewna, że nagrodzimy cię po królewsku!

— Przysięgnijcie mi, że przyjmiecie mnie do swojej bandy.

Mogę wam się przydać! Przysłowie powiada że gdzie dyabeł nie może, tam kobietę poszle!... przysłowie ma racyę.

— Dodrze, moja mała! — rzekł Garnicz — myślę, że, gdy się umyjesz i jakie takie szmaty na grzbiet wdziejesz, będziesz mogła nam niejedną tłustą rybkę wpędzić w sieci.

— A zatem rada!... zgadzamy się! Należysz do nas! Oto moja ręka!... A teraz mów!...

— Jesteście zgubieni, jeżeli nie będziecie działać chytrze i stanowczo – zawołała dziewczyna. — Tej nocy był pomiędzy wami Szerlok Holmes, sławny detektyw!

— Tam do dyabła! — zaklął Garnier i zbladł,

a jego towarzysze zdradzali silne zaniepokojenie.— Straszne podejrzenie mną owładnęło — — Ci obydwaj cyganie.

— Był Szerlok Holmes i jego pomocnik, nie wątpcie w to!

— Czy nie posłaliście rozkazu do Ameryki, ażeby dzisiejszej nocy spotkała się cała banda w tej czardzie? Czy rozkaz spisany na pergaminie nie był zamknięty w blaszanej puszce?

— Na wszystkie nieba i piekła! Kobieto! ty mówisz prawdę! — ryknął Garnier — posłałem pergamin w metalowej puszce do Pitta Nerestona w Nowym Jorku, ale on się tu nie zjawił!

— Nereston nie żyje! — odpowiedziała dziewczyna — Złapany przy pewnem włamaniu uciekał przed pościgiem policyi przez most brooklyński. Wtem ujrzał naprzeciw siebie zmierzający drugi oddział żołnierzy. By nie wpaść w ręce prześladowców, wolał sobie sam śmierć zadać. Zrzucił się z mostu do morza.

W 14 dni potem skoczył drugi człowiek w tem samem miejscu do wody, ale nie, by umrzeć, lecz wzbogacić się, jeżeliby mu się skok udał.

Tym człowiekiem był Steve Brodie — mój kochanek!

— Steve Brodie? Czytałem o nim w gazetach!

— Ten Steve Brodie — mówiła ruda kobieta — został przez dwóch mężczyzn wyciągnięty z wody, którzy starali się wszystkimi sposobami przywrócić mu utraconą przytomność. — W jego zaciśniętej dłoni znaleźli ową puszkę metalową, która w głębinach morskich wpadła mu w rękę.

Jeden z ratowników otworzył puszkę i przeczytał pergamin.

Tym człowiekiem był nie kto inny, jeno Szerlok Holmes.

— W czterech tygodniach będą „Błędne ogniki Czerwonego bagna“ w mojem ręku! — zawołał detektyw z tryumfem do swego towarzysza.

Ale nawet i jemu nie pokazał co jest napisane na pergaminie.

Ale Steve Brodie, który oprzytomiał przez ten czas słyszał całą ich rozmowę i gdy Holmes, czytając pergamin pochylił się nad nim i jednym rzutem oka zapoznał się on z niewielką jego treścią.

O wszystkiem tem opowiedział mi mój niewierny kochanek, gdy go w czasie jego choroby pielęgnowałam.

Jeden ze znajomych zbrodniarzy przełożył mi treść tego dokumentu na zwykły ludzki język.

Wkrótce potem opuściłam Nowy Jork.

Ograbiłam pewnego anglika w hotelu z pieniędzy, których właśnie tyle w pularesie jego znalazłam, że mi wystarczyły na podróż.

A teraz wiecie wszystko! Wiedzcie także, że znajdujecie się w największem niebezpieczeństwie! Zarazem przyznacie mi, że ruda Mery może być dzielnym i użytecznym członkiem waszej bandy!

— Jesteś nim! W rzeczywistości! mamy ci dużo do zawdzięczenia! Zostajesz z nami i nie wyjdziesz na tem źle, rozumie się, jeżeli tę noc szczęśliwie przeżyjemy! Bo pamiętajcie „Błędne ogniki Czerwonego Bagna“!—zwrócił się do swych towarzyszów — nasze położenie jest piekielnie niebezpieczne!

Szerlok Holmes ściga nasze kroki. Ale niech będę przeklęty, jeżeli mu się nie wymknę!...

— — — — — — — — — — —

— Stój, mój chłopcze! A teraz szybko za ten krzak!

Szerlok Holmes był człowiekiem, który w ten sposób odezwał się do Taksona.

Obydwaj byli zdyszani, że tchu nie mogli złapać, pędzili bowiem stepem jakby się o życie rozchodziło.

I rzeczywiście, o życie się rozchodziło, o życie dwojga osób, a mianowicie hrabiego i jego żony.

— Nie pojmuję mistrzu dla czego tracimy czas tutaj, zamiast spieszyć zagrożonemu hrabstwu z pomocą.

— Tak Harry!—odpowiedział Holmes z uśmiechem — możliwe to było, gdybyśmy posiadali wielbłądzie nogi, a nie ludzkie, na używanie których — niestety! — skazani jesteśmy!

— Przyznaję! — odrzekł Harry. — Ale cóż zyskamy przez to, jeżeli będziemy leżeć za krzakami? Czyż mamy myśleć o własnem niebezpieczeństwie, podczas, gdy ta młoda para zginąć może z rąk bandytów?

— Gdybym tak myślał — odpowiedział detektyw poważnie — nie byłbym godzien nazwiska Szerloka Holmesa. Mam nadzieję, że właśnie stąd przeszkodzimy zbrodniarzom w wykonaniu haniebnych zamiarów!...

Wydobądź rewolwer i miej go w pogotowiu, a celuj dobrze my dear! A jeżeli — ha? co to? Słyszę odgłos końskich podków. Jeździec zdąża tu pędem, to jest Garnier ten łotr!... Ha! ha! mój

przyjacielu! jeszcze nie masz w kieszeni milionów hrabiny Segeny-Vanderbilt! Ale za to ja ciebie będę miał i to żywcem!...

Mały, zwinny konik z jeźdźcem na grzbiecie przemykał właśnie obok nich. Jeździec był silnie pochylony na kark rumaka.

Szerlok Holmes zmierzył i wypalił. Koń powalił się na ziemię przygniatając swym ciężarem jeźdźca.

Obydwaj detektywi wyskoczyli i rzucili się ku niemu.

— Poddaj się Garnier! — zawołał Holmes — „Błędne ogniki Czerwonego bagna“ są zdemaskowani, a ty, ich herszt — —

— Na wszystkie piekła! — krzyknął nagle przerażony — jesteśmy zdradzeni! Harry! Odkryto nas!... Słomianą lalkę odzianą w suknie Garniera wsadzili ci łotrzy na konia! A teraz — o! — nadbiegają na nas!... Harry! nie ujdziemy pieszo przed nimi, strzelać również nie można!!...

W parę chwil leżeli już obydwaj skrępowani na ziemi.

— Czy im dać połknać ołowianą pigułkę? — zapytał wuj Tom, mierząc w skroń wielkiego detektywa.

Ale Garnier przeszkodził koledze.

– Ten człowiek jest naszym największym i najniebezpieczniejszym wrogiem! Setki naszych wysłał już na szubienicę, gilotynę lub posadził ich w elektrycznym fotelu. Tysiące jęczy w ciemnicach więzień i w domach poprawy. Szczęśliwy los wydał go w nasze ręce! Chcemy lepszej, dosadniejszej zemsty nad nim niż śmierć!

Prędko! weźcie tych psów policyjnych. Kulawy Janosz wskazał mi dzisiaj na puszcie wilczą jamę zamieszkałą dotych przez te straszne zwierzęta! Niech dzikie bestye ich rozszarpią! Jutro zobaczymy, co pozostanie ze sławnego Szerloka Holmesa i tego drugiego szczeniaka!...

Ani słówka nie rzekli detektywi wleczeni przez łotrów, tylko Holmes szepnął do swego pomocnika:

— Zawsze lepiej mój chłopcze mieć do czynienia z wilkami na puszcie niż z tymi bandytami!...

Rodzaj kominu naturalnego prowadziło do jej wnętrza.

Holmes został przez zbrodniarzy na łeb w ten otwór wrzucony.

— A teraz szpieguj wielki detektywie bandę wilków. Ha! ha! założę się, że będziesz w nich podejrzywał bandę morderców.

Straszny, serce rozdzierający krzyk ozwał się ze środka.

— Słyszysz jak mistrz twój śpiewa? — zaśmiał się Garnier szatańsko i schwyciwszy biednego Taksona pod gardło rzucił go o ziemię.

— Byłeś mu zawsze tak wiernym! Spiesz i teraz za nim! Niech was wilki zjedzą, szpiegi podłe! Teraz już nam nie przeszkodzicie w robocie naszej z hrabstwem Segeny!

I Harry Takson znikł również w otworze jamy, jak mistrz jego.

ROZDZIAŁ VI.

Niespodzianie — w samotrzasku.

— Czy hajduka Stefana jeszcze nie ma? Gdzież on tyle czasy siedzi?!

— Nie, panie hrabio! — odrzekł brodaty stangret — patrzę wokoło, ale nigdzie go dojrześ nie mogę!

— Przecież Stefan nie pomylił się chyba, mówiąc, że czarda Kirylly leży w pobliżu miejsc tych?—zapytał wysoki, bardzo przystojny hrabia.

— Półtory mili jesteśmy od niej oddaleni. — Ja znam dobrze tę czardę i jej gospodarza kulawego Janosza!

— A czy kulawy Janosz zasługuje na zaufanie?

— O tyle, o ile każdy gospodarz stepowej szynkowni i półcygan do tego! Oni wszyscy są łajdaki, a co się tyczy kulawego Janosza, to ma on trzy ładne córeczki, które chętnie wyłudzają pieniądze od chłopców... Nie wierzę, by na całej puszcie znalazł się ktoś ogółem, ktoby ośmielił się Waszej Łaskawości krzywdę jakąś uczynić!

— To możeby najlepiej było, gdybyśmy od razu poszli do gospody?

— W każdym razie musimy poczekać na Stefana!

Z temi słowy odwrócił się hr. Segeny i poszedł kilka kroków dalej ku pagórkowi, na którym siedziała młoda, piękna jak anioł kobieta z jasnozłotymi włosami i prawdziwie Junony postawą.

Była to hrabina, pochodząca z rodziny milione-

rów Vanderbiltów, która niedawno oddała swą ręką Segenemu.

— Moja droga Alicyo! — rzekł hrabia siadając obok swej żony — jakżeż mi żal, że przez ten fatalny wypadek jesteś zmuszoną poznać węgierskie puszty z ich najgorszej strony!

— Dlaczego z najgorszej? — zapytała hrabina z czarownym uśmiechem — przeciwnie, znachodzę to bardzo zajmującem, siedzieć w nocy wśród tych bujnych traw tak świeżych i wonnych! A potem, czyż nie jestem przy tobie, mój najdroższy?! Czyż może mi być źle przy tobie?

— A! otóż zjawia się Stefan! — zawołał w tym samym momencie stangret. — Zapewne postarał się już o powóz. Przyprzągniemy do niego nasze cugowe konie i na rano jesteśmy w Szegedynie!

— Hallo! panie hrabio! — zawołał stangret — to nie Stefan przybywa, to jakiś obcy!... Zdaje mi się, że to posłaniec z czardy!

Hrabia wyszedł kilka kroków naprzeciw, dla wszelkiej jednek ostrożności trzymał w pogotowiu rewolwer!

— Wybacz pan! — zawołał hrabia — tu w puszcie, zwłaszcza w nocy trzeba być na wszystko przygotowanym!... Kto przybywa? Przyjaciel, czy wróg?

– Przyjaciel! — odpowiedział jeździec, zeskakując z konia – moje imię jest Garnier. Zawdzięczam szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że mogę panu, panie hrabio, wyświadczyć małą przysługę!

Bawiłem właśnie z kilku moimi przyjaciółmi w czardzie Kirally, gdy nadbiegł pański posłaniec.

Biedny, stary Stefan w forsownym tym nocnym wyścigu skręcił sobie nogę i nie może teraz opuścić czardy. Ale objaśnił nas, w jakim kłopocie znajduje się pan hrabia. Otóż zaraz za mną idzie wóz, którym bezpiecznie i wygodnie możecie państwo odbyć dalszą drogę.

Radziłbym zajechać najlepiej do czardy i tam przeczekać do rana. Między mymi przyjaciółmi, jest pewien mechanik, który przez ten czas naprawi pański pojazd.

— Jestem nadzwyczaj obowiązany i panu i pańskim przyjaciołom — rzekł hrabia ściskając dłoń nieznajomego. — Skorzystam z waszej uprzejmości — i zajedziemy do czardy Kirally!

Potem poprowadził go hrabia do swej żony i przedstawił tymi słowy:

— To jest pan Garnier, francuz prawdopodobnie, człowiek nadzwyczaj uprzejmy i ugrzeczniony, który ofiarował się nam z pomocą!

W tej chwili posłyszano turkot kół i mały faetonik zaprzężony w dwa ogniste koniki zjawił się niezadługo.

W powoziku znajdował się wój Tom i reszta zacnego towarzystwa, nie wyłączając dwóch za oficerów przebranych opryszków. Inni pozostali w czardzie, by usunąć trupy i gospodę jako tako przygotować na odwiedziny hrabstwa.

Dyspozycye wydano szybko.

Hrabia wsiadł z młodą swoją żoną do faetonu a na kozioł wyskoczył także i Garnier, by powozić.

Wój Tom, rzekomy mechanik został ze swoim towarzyszem w polu, by jak mówił, powóz naprawić. W rzeczywistości zaś planowali obydwaj zbóje straszną zbrodnię.

Zanim hrabia zajął miejsce w obcym powozie, wyjął z zepsutej swej landary wielką, skórzaną, srebrem kutą kasetę i położył ją w nogach obok. Nie zauważył wcale chciwych, łakomych spojrzeń jakie Garnier i jego towarzysze rzucali na kasetę.

— Gdy tylko naprawisz powóz, jedź za nami i zabierz obydwóch hajduków — zawołał hrabia do woźnicy — Obydwóch panów, którzy są łaskawi pomódz nam w tem nieszczęściu, poproś także ze sobą! A teraz jedźmy! Do widzenia moi panowie!...

Garnier popędził konie biczem, i wózek ruszył i znikł w ciemnościach nocy.

— Teraz musimy się pozbyć tych przeklętych hajduków – rzekł cicho wój Tom do swego Towarzysza, gdy zostali sami. — Czy twój rewolwer w porządku?

— Tak jest! — odpowiedział drugi — dwóch nas przeciwko trzem, damy sobie radę!...

— A więc do dzieła! — rzekł Tom, wskazując na powóz. — Trzeba powóz naprawić i postawić na koła! Naprzód hajducy! Musicie wleść pod pudło landary i podnieść ją cokolwiek w górę.

Była to wyborna pułapka, którą zbrodniarze obmyślili tym ludziom, nie przeczuwającym nic złego. Wóz został podniesiony i stangret wraz z dwoma hajdukami podpełznęli pod niego, gdy nagle padły trzy strzały. Wóz spadł znowu na ziemię, przygniatając sobą zabitych.

— Skończone! — zawołał wój Tom i zapalił

papierosa. — Zdaje mi się, że interesa nasze dobrze idą!

Hrabiowska para znajduje się w ręku Garniera, który zwabił ich do czardy, by się z nimi tam ułatwić, te draby nie żyją już, a zacny Szerlok Holmes — ha! ha! ha! — z wielkiego detektywa chyba kosteczki tylko pozostały! Z pewnością i jego i tego głupiutkiego Taksona musiały już dawno wilki rozszarpać!

— Zrewidujmy ten powóz! — rzekł drugi opryszek. — Może znajdziemy jeszcze co wartościowego!

— Byleby to nie trwało długo. Musimy wracać do czardy, gdzie oczekuje nas Garnier!

W powozie znaleźli mały kuferek z rozmaitem srebrnem naczyniem jak łyżki, widelce, noże i talerze, znaczone monogramem hrabiowskim.

— W każdym razie warto zabrać! — mówił wuj Tom — natomiast boli mnie serce, że te piękne, rasowe konie musimy na miejscu pozostawić. Ale jeżeli Garnier nie jest skończonym głupcem, to zrana zabierze się te poczciwe stworzenia i na najbliższym targu końskim sprzeda za grube pieniądze!

— Ja sądzę, że zawsze z jakie 20.000 guldenów są jeszcze warte! Takiej sumy nie znachodzi się dzisiaj na ulicy!

Tak rozmawiając, zabrali się obydwaj zbóje, nie rzuciwszy nawet okiem na ciała pomordowanych.

Nagle wój Tom stanął i rzekł:

— Jesteśmy w pobliżu wilczej jamy. Naprawdę, że mam ochotę zobaczyć, co się dzieje z naszym kochanym Szerlokiem Holmesem. Przepatrzę jamę!...

Skręcili na prawo i niezadługo stali u wylotu komina, wiodącego do wilczego dołu.

— No! przyjacielu! Czy nic nie słyszysz? — zapytał wuj Tom, nachylając się całem ciałem ku otworowi.

— Nic nie słyszę! — odpowiedział drugi. — Zdaje się, że wilki spełniły sumiennie swój obowiązek i największego detektywa świata poszarpały w kawałki!

— Wilki mają jeszcze ciągle apetyt! — zagrzmiał w tym samym momencie za nim potężny głos jakiś. A gdy opryszek się obrócił, otrzymał nagle silne uderzenie w czoło, wskutek którego zwalił się jak byk na ziemię.

Ale gorzej jeszcze poszło zacnemu wujowi Tomowi.

Uderzył go ktoś z tyłu w głowę z takim rozmachem, że został wyrzucony w powietrze jak bomba i upadł o kilkanaście kroków dalej na ziemię.

W tej chwili skoczył mu ktoś obunóż na piersi i nastąpił obcasem tak ciężko na gardło, że prawie zdusił mu przełyk.

— Mistrzu! — zawołał młodociany głos. — Czy mam z nim skończyć? — Tylko silniej mu gardło nacisnę, a wystarczy!

— Zależy mi na tem — odpowiedział Holmes — ażeby ci szubrawcy żywcem mi się do rąk dostali! Zwiążmy ich!...

Stało się to w mgnieniu oka.

Wuj Tom robił rozpaczliwe wysiłki, by strącić ze siebie Taksona, ilekroć jednak wzniósł głowę, następywał mu tem silniej młody detektyw na gardło.

Wój Tom — dał za wygranę.

Ale to nie wystarczało Holmesowi, poza tem, że zbrodniarze byli według wszelkich zasad kryminalistyki skrępowani — chciał ich jeszcze widzieć w dobrem i pewnem przechowaniu.

— Teraz jednak — rzekł Holmes — żałuję doprawdy, że w tej jamie nie mieszkają wilki; dałbym im z całego serca smaczną i pożywną przekąskę! Na każdy sposób było to dla nas wielkiem szczęściem, że wilki opuściły swoje domostwo, gdyż obawiam się, że bestye nie usiłowałyby zrobić różnicy między zbrodniarzami a detektywami, ale rozżarłyby nas, chociaż zupełnie niezasłużenie dostaliśmy się do jamy.

Szerlok Holmes schwycił przy tych słowach najpierw wuja Toma i wrzucił go do jamy, a potem uczynił tosamo z jego towarzyszem.

— Patrzaj mój chłopcze! — zwrócił się Holmes do swojego famulusa. — Jest Bóg wielki i sprawiedliwy! On wie dobrze, co czyni!

Ta banda „Błędnych ogników“ nie rozumie naprawdę swojego rzemiosła! Gdy mi ręce skrępowali, nie przyszło im nawet na myśl, że mogę zastosować sztuczkę uwolnienia się z więzów zapomocą dwóch wielkich palców u rąk. Jest to znany „trick“, z którym w rozmaitych cyrkach i teatrach „Varietée“ produkują się sztukmistrze, a który ja zastosowuję praktycznie conajmniej od lat dwudziestu!

Nię przyszło mi więc z trudnością siebie i ciebie uwolnić, a ponieważ szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie zastaliśmy na dole wilków — mo-

gliśmy przeto zupełnie spokojnie wyjść na powierzchnię ziemi!

— Gdzie właśnie na czas zjawiliśmy się, by schwycić obydwóch tych bandytów! — zaśmiał się Harry Takson.

— Najtrudniejsze zadanie mamy atoli teraz! Gdyśmy jeszcze na dole w jamie leżeli, słyszałem turkot wozu w kierunku czardy Kirally!

Obawiam się bardzo, że w tym powozie znajdowali się hrabstwo Segeny, których „Błędne ogniki“ zwabili do czardy.

Dla tego, nie traćmy czasu, Harry! Pójdźmy do czardy! Trzeba ze szpon krwiożerczych bandytów wyrwać dwie niewinne, na pół już zgubione, ofiary!...

ROZDZIAŁ VII.

Otwór w dachu słomianym.

Po upływie kwadransa, biegnąc krokiem, jakiego by im zawodowy szybkobieg mógł pozazdrościć, znaleźli się obaj detektywi w czardzie.

Z całą ostrożnością zaszli od tyłu budynku. Przez rozwalony na pół płot zaszli na podwórze oberży.

Tu stał mały faetonik z zaprzężonymi jeszcze końmi. Konie oddychały ciężko, z czego wywnioskował Holmes, że „Błędne ogniki“ dopiero teraz zajechały tu z swemi ofiarami.

Holmes nie chciał marnować czasu. W podwórzu znajdowała się drabina. Detektyw przystawił ją do ściany i wraz z Taksonem znalazł się niezadługo na dachu.

— Pomóż mi Harry! — szepnął Holmes — musimy się wszyć w słomę strzechy, gdyż drzwi są z pewnością zamknięte, a na powodzenie możemy tylko wtedy liczyć, jeżeli bandytów niespodzianie zaskoczymy.

Ostrożnie, ale spiesznie poczęli zrywać wielkie snopy stanowiące poszycie szopy, i zrzucali je na podwórze.

Teraz powstał otwór dostatecznie wielki, by przez niego można było spojrzeć do wnętrza gospody.

Holmes przypuszał, że z dachu dostanie się na strych dopiero, ale teraz widział, że otwierał się stąd widok wprost na izbę szynkownią.

Leżąc na brzuchu obserwował detektyw dobrze to wszystko, co się w izbie działo.

Ale to, co ujrzał, zadziwiło go mocno.

Widział mianowicie, że hrabstwo siedzieli najspokojniej przy stole, a bandyci odgrywali jeszcze ciągle wobec nich ludzi honoru.

Segeny siedział z małżonką swoją z boku i rozglądał się po izbie.

— Gdzie jest gospodarz czardy? — zapytał — gdzie kulawy Janosz? Dla czego nie przychodzi żeby odebrać moje rozkazy?

Garnier miał zawsze odpowiedź na końcu języka.

— Ach! ten łobóz upił się zupełnie, tak, że musieliśmy go przenieść do stajni. Tam teraz wysypia swój kacenjamer!

— A córki gospodarza? — zapytał hrabia dalej — wszak mówiono, że jest tu kilka dziewcząt w oberży!

— Były w domu — odpowiedział Gatnier — ale proszę wybaczyć otwartość moją, pani hrabino! — Trzy córeczki gospodarza poszły sobie z kochankami na spacer w pusztę. Jedna ma pocztyliona, druga pastucha, a trzecia nawet cygana!...

Tak, panie hrabio! Moralność u nas na puszcie jest jeszcze, że się tak wyrażę — w powijakach!

Tymczasem Alicya wstała i przeszła przez pokój.

Nagle zatrzymała się i wydała lekki okrzyk.

— Co to za ciemne, dwie plamy na podłodze? — zapytała, a potem rzekła do męża po angielsku:

— Segeny! zdaje mi się, że tu są ślady krwi.

Hrabia podniósł się i pospieszył do żony.

— Na Boga! — krzyknął, rzuciwszy okiem na podłogę — To jest krew! Panie Garnier! Tu musiało zajść coś strasznego! Popatrz pan sam!... Na podłodze krew!

W tym samym momencie otwarły się drzwi i do pokoju weszli dwaj bandyci przebrani za oficerów.

Trzy rewolwery skierowały się przeciw hrabiemu i hrabinie.

— To jest łotrowska zdrada! wrzasnął hrabia i chciał rewolwer swój wydostać z kieszeni. Ale Garnier rzucił się na niego i po krótkiej walce wyrwał mu broń z dłoni.

— Panowie! pomóżcież mi! — zwrócił się hra-

bia w rozpaczliwem swem położeniu do obydwóch oficerów. — Na honor swego munduru zaklinam was o pomoc przeciw tym bandytom, którzy chcą nas ograbić, a może i mnie i moją żonę życia pozbawić!...

Szyderski śmiech oficerów był odpowiedzią.

— Wpadłeś pan w ręce „Błędnych Ogników Czerwonego Bagna“, panie hrabio! — zawołał Garnier — Jesteśmy zbrodniarzami, nie cofającymi się przed żadnym środkiem do dopięcia swych celów!

I pan i pańska żona jesteście bezpowrotnie zgubieni, Wystarczyłoby mi tylko zakomenderować „ognia“! a przeszyci kulami padlibyście na ziemię! Ale możecie uratować życie swoje pod pewnymi warunkami!

— Jakież są te warunki?! — zapytał hrabia zbladłszy, podczas gdy Alicya przyciskała się trwożnie do jego piersi — Weźcie moje życie, a żonę moją wypuście wolno!

— Nie, bandyci! mnie zabijcie, a darujcie życie hrabiemu!

— Szlachetne współzawodnictwo! — zauważył Garnier z ironią.

— Róbmy koniec! Możecie oboje życie swoje ocalić, jeżeli wystawicie nam czek na milion koron! Gdzie masz pan swoje konto?

— W węgiersko-austryackim banku w Wiedniu!

— Książeczka czekowa jest?

— Znajduje się w kasetce zawierającej również klejnoty mojej żony!

— Otwórz pan!

Nie puszczając swojej żony przeszedł hrabia do stołu, wyciągnął mały kluczyk z kieszeni i podniósł wieko kasetki.

Trzej bandyci rzucili się na dany znak na stół.

Okrzyk zachwytu wydarł im się z piersi, gdy ujrzeli wspaniałe kosztowności.

Ale Garnier był praktyczniejszy od nich.

Obliczył natychmiast, że klejnoty nie mogą mieć nawet w przybliżeniu tej wartości, co jeden czek wycięty z wązkiej książeczki spoczywającej na dnie kasetki — czek z podpisem hrabiego Segeny.

— Wystaw pan nam czek, z łaski swojej na milion koron!

— I pod tym warunkiem darujecie nam życie? — zapytał młody hrabia.

— Co nam po pańskiem życiu? My chcemy pięniędzy!

Oczywiście, że skrępujemy was. Zrozumiecie dobrze, że musimy mieć czas do ucieczki i być pewnymi, że przed ranem nie opuścicie gospody! Będziemy mieć dość czasu by zajechać do Wiednia i podjąć milionik!

— Niech tak będzie! — oświadczył hrabia — Gdzie jest pióro i atrament?

— Tu jest mały garnitur do pisania — odpowiedział Garnier wyciągając takowy z kieszeni — Przezorni ludzie zaopatrują się we wszystko! Hej przyjaciele! — zwrócił się do towarzyszów — Przygotujcie wózek, napójcie konie, musimy jeszcze tej nocy być na stacyi. Tymczasem może załatwi wój Tom na puszcie swoje interesy!

— Co mi tam milion! — zawołał hrabia — gdzie się rozchodzi o życie, a zwłaszcza o życie mojej drogiej Alicyi! Patrz pan kładę podpis pod blankietem, który wypełniłem!

— Czy on tylko prawidłowo wypełniony? — zapytał przezornie Garnier pochylając się przez poręcz krzesła, na którem siedział hrabia.

— Zupełnie prawidłowo! Milion koron — ha! ha! ha! — na okaziciela —

Głuchy odgłos. — Garnier uderzył z całej siły głową o stół. Na jego plecach siedział Szerlok Holmes, który przez otwór dachu skoczył po prostu na bandytę.

— Bestyo! — ryknął nieustraszony ten człowiek i owinął błyskawicznie szyję zbrodniarza przygotowanym już stryczkiem. — Mam cię kanalio! Na ziemię! Uduszę cię, jeżeli jeszcze chwilę będziesz stał na nogach!

Zbrodniarz na pół zduszony zwalił się pod detektywem.

Szerlok Holmes nałożył mu stalowe kajdanki na ręce, a potem podał hrabiemu rewolwer ze słowami:

— Zrób pan użytek z broni, panie hrabio, jeżeliby bandyta podniósł się z ziemi.

Nie zważając na zdumienie hrabstwa wybiegł Holmes na pole.

W tym samym momencie padły dwa strzały, a radosny jakiś głos zawołał z dachu:

— Ukończyłem moją pracę, Mistrzu! Obydwaj zbóje leżą już nieżywi na ziemi! Trafiłem ich właśnie, gdy zbliżali się do powozu!

— Ha! ha! Harry! — zaśmiał się Holmes do swego pomocnika. — Stoisz właśnie jak bocian

na dachu! Zejdź-no mój chłopcze, bo „Błędnych Ogników“ nie ma już na tym świecie!...

I była to prawda.

Garnier, zarówno jak wój Tom i trzeci ich pomocnik zostali przeniesieni z wilczej jamy i odstawieni pod silną eskortą wojskową do Szegedynu. Poprzód jednak zbił ich bez miłosierdzia gospodarz czardy.

„Czerwona Mery“ zniknęła bez śladu. Znaleziono później jej trupa w puszcie.

Jak obdukcya zwłok wykazała otruła się nieszczęśliwa.

W Szegedynie wytoczono proces zbrodniczej bandzie, proces, który był senzacyą nietylko na Węgrzech i w Austryi, ale rozgłośnem echem rozbrzmiewał swego czasu po całym świecie.

Klasycznymi świadkami na rozprawie był hrabia i jego żona.

Arystokrata mimo swoich jeszcze młodych lat i wybornego wyglądu jak i postawy miał na skroniach włosy lekko siwizną przysypane.

Była to pamiątka przeżytej owej strasznej nocy w węgierskiej puszcie. Nie odjęło mu to jednak nic z uroku i wdzięku w oczach kobiet, których sympatyą zawsze się cieszył. Ale hrabia Segeny głuchy i ślepy był dla innych kobiet — w sercu jego panowała niepodzielnie młoda, prześliczna żonka — Alicya z Vanderbiltów, którą ubóstwiał po prostu.

Małżeństwo pobłogosławione zostało zaraz w rok potomkiem po mieczu. Między gośćmi zaproszonymi na uroczystość chrzcin znajdowali się przedstawiciele najpierwszych magnackich rodzin całego świata.

Gratulacye i życzenia telegraficzne przesłało młodemu małżeństwu nawet wiele głów koronowanych.

Wśród gości wpadała w oko smukła postać Holmesa, który między „honoracyorami“ zajął przy stole poczestne miejsce.

I Harry musiał wypić za zdrowie potomka rodu Segeny-Vanderbilt.

Wszyscy słuchali ze zdumieniem słów detektywa, który w prosty, właściwy jego charakterowi sposób opowiadał przygody wiążące się z uwolnieniem hrabstwa z rąk niebezpiecznej szajki rabusiów, noszącej miano „Błędnych Ogników Czerwonego Bagna“.

Niejedna z pięknych dam rzucała ciekawe spojrzenia na młodego pomocnika detektywa — Harry Taksona. Był to rzeczywiście w całem znaczeniu tego słowa przystojny chłopiec. Bujne włosy starannie uczesane spadały figlarnym kosmykiem na gładkie, myślące czoło. Twarz rozjaśniona roztropnemi oczyma była bardzo sympatyczna i ujmująca a usta ładnie wykrojone i małe, równe zęby, dopełniały wdzięków interesującego młodzieńca.

Dodajmy do tego, że Harry miał 24 lat, że część sławy Holmesa spływała na niego jak spływa blask słońca na gwiazdy, co przy jego wrodzonych zdolnościach, rokowało najpiękniejszą przyszłość praktykantowi sztuki policyjnej. Po za tem wszystkiem Harry i sam świetnie zarabiał, pobierając wysoką gażę od swojego mistrza i sute premie za każdorazową pomoc.

Nie na tem koniec.

Szerlok, chociaż stosunkowo do swojej sławy młody jeszcze wiekiem oddany cały, niepodzielnie idei swojej. śledzenia i karania zła, nie miał czasu ani sposobności. do zajmowania się bardzo swoją własną osobą i uczuciami. Tak też serce detektywa, tak czułe i wrażliwe na cudze nieszczęście, na ból i krzywdę bliźniego — było rzec można zupełnie niedostępne tkliwemu uczuciu miłości. Kobiety — jak mówiono — nie odgrywały w życiu arcymistrza detektywów — prawie żadnej roli.

Szerlok Holmes interesował się swego czasu bardzo jedną kobietą. Nie pozyskawszy jednak wzajemności, ukrył swój zawód w głębi serca, a pozostawszy wiernym pierwszej swej miłości postanowił nie żenić się nigdy i umrzeć starym kawalerem.

Majątek olbrzymi wynoszący z górą milion dolarów — przekazał już za życia swego — spadkobiercy przyszłej swej sławy — ukochanemu uczniowi Harry Taksonowi.

Młodzieniec więc był jak widzimy wymarzoną partyą dla panien na wydaniu. Ale i on nie myślał na razie oddawać swej szyi w istne okowy małżeństwa, lecz żył tylko dla swego mistrza i dobra ludzkości, której na spółkę z Holmesem niespożyte zasługi oddawał.

KONIEC.

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Wielebni Koledzy!

Trzy rzeczy nie mogą mi jakoś wyleźć z głowy, która zresztą za czasów mego urzędowania wykazywała, że zmieścić w niej się może dużo, jak w koszu do papieru stojącym przy biurku pana radcy.

Te trzy rzeczy nie chcące w żaden sposób wyleść mi z głowy to są: Kacenjamer, na który chronicznie cierpię, myśl, że moja żona może kiedyś zamilknąć i trzecia rzecz: biegun północny!

Temu ostatniemu fenomenalnemu odkryciu chcę poświęcić kilka słów.

Zaledwie radosna wieść świat obiegła, że biegun północny odkryty, a już zjawiło się dwóch konkurentów spierających się o to, który z nich właściwie wykrył ten punkt, około którego kręci się nasza dobra matka-ziemia! Jakkolwiek jest, mało mnie to obchodzi, jednak jako zamiłowanego przyrodnika interesuje mnie nieco przyszłość tych dziewiczych krajów, jako, że mężczyzna zdrów i przystojny mam wielką ciekawość do wszystkich dziewic i chętnie zrobiłbył tam odkrycie, gdyby nie pan Coock i Peary, którzy mnie już w tem uprzedzili.

Jak się tam przyszłe życie rozwinie? Nie wiadomo! Ja jednak widzę okularami mojej duszy co to za szopa kiedyś będzie!

Liczne państwa świata będą się z pewnością ubiegały o aneksyę polarnych krajów. Najwięcej jednak mojem zdaniem zdałyby się te okolice lodowe dwom mocarstwom. Austryi, której przez aneksyę Bośni i Hercegowiny zrobiło się bardzo gorąco i zdałoby się staruszce ochłodzenie, którego nie brak na północnym biegunie. Drugie zaś państwo reflektujące na podbój śniegu i lodu — będą zdaniem mojem Prusy, gdyż zdałoby się mieć duży zapas lodu dla pewnego pana, który dużo podróżuje, jeszcze więcej gada i umie bardzo ładnie krzyczeć „dreimal Hurra“!... Biegun północny może mu wyświadczyć wielkie usługi w postaci zimnych okładów na głowę.

No, ale przypuśćmy, że znajdą się tam inne jeszcze narody. Jak zaczną swoją misję cywilizacyjną między psami, wołami pirzmowymi, eskimosami i innemi zwierzętami podbiegunowemi?

Niemiec założy najpierw — knajpę, anglik — kościół, francuz tingel-tangel, a polak będzie się oglądał za jakim lombardem, gdzieby mógł zastawić letnie ubranie i zarzutkę, w której z Europy przyjechał — a potem założy Koło Polskie, które gotowe jest zrobić konkurencję kołu biegunowemu.

Szanownych moich Kolegów widzę już w urzędowaniu pod biegunem.

Surdut z białego niedźwiedzia, teka z aktami z psa morskiego. Trzeba eskimosom imponować! To będzie życie, że aż ha!

Noc trwać będzie pół roku, z czego będą bardzo kontenci goście nocnych kawiarni i bandyci.

Znajomym Waszym Wielebni Panowie Koledzy radzę, żeby pod biegunem taki sobie fach obrali, jaki w owych stronach jest najodpowiedniejszy.

Nie radziłbym osiadać się tam fabrykantom słomkowych kapeluszy, ażurowych damskich pończoch i męskich spodni do kąpieli.

Kto ma gorące serce, może śmiało przebywać w tych mroźnych regionach — to mu nic nie zaszkodzi, a pomódz może. Komu robota pali się w rękach, niech tam przybywa, ale kto ma temperament zimny jak nos psa, to niech się strzeże bieguna, bo może tam zamarznąć do reszty. Ludzie mający gorączkę złota, nerwowi i w których za lada podrażnieniem krew kipi -- znajdą tam bardzo zdrową kuracyę.

To samo odnosi się do młodzieńców, którzy się do dam palą. Ale co do mnie — to ja tam nie pojadę, co proszę przyjąć do wiadomości, bo moja żona nie jest już w tych latach, gdzie kobiety mają ogniste spojrzenia, ciepły uścisk ręki lub wzbudzają gorące uczucia.

Ja, jako dobry patryjota zastaję w kraju, a jeżeli będę chciał ochłody to wstąpię sobie na bombkę zimnego pilznera do Hawełki lub Wenzla.

Skończyłem!...

NOWA SERYA LEKKICH POWIEŚCI.

OGRÓDEK AFRODYTY

Tom I. PREVOST: DZIEWUSZKI

Tom II. THOMA: ALIMENTA KAROLKA

CENA 1 KORONA.

Nakładem Księgarni St. Kavki w Krakowie.

WSZĘDZIE DO NABYCIA.

Tysiące Pań i Panów

używa światowo sławnej wody na **zabarwienie i porost włosów.** Woda ta jest wynalazkiem **prof. Dra Semka,** a była na wielu wystawach **odznaczona.** O jej **skuteczności** świadczy wielka ilość **listów pochwalnych.** Cena jednej próbnej flaszki **5 K,** większej **8 K.** Wysyła dyskretnie wraz z pouczeniem, **za zaliczką pocztową:**

F. Nevrotil, Prostejow,

Petrská ul. 9.

15 POWIEŚCI z życia Czerwonoskórych z ilustracyami za . . . **2 K 60 h**

1. Pierwszy pochód zemsty. 2. Walka o dolinę złota w górach Mglistych. 3. Sitting Bulla biały bizun. 4. Jeździec. 5. Tajemnica z nad rzeki Powder. 6. Demon pijaństwa. 7. Śmiertelna jazda naczelnego wodza. 8. Napad na fort Lincoln. 9. Niemyty Blok-haus. 10. Księżniczka widm skalistych itd.

wysyła opłatnie

Księgarnia antykwarska M. Prokesza

W KRAKOWIE, UL. SZEWSKA L. 17.

Za zaliczką o 45 h. drożej.

Szerlok Holmes

słynny ajent śledczy.

Tytuły nadzwyczaj zajmujących powieści:

Zbrodnia na Zamku Saavreda.
Śladami Houdiniego.
W królestwie Amora.
Grabież naszyjnika z pereł.
Córa Ewy.
Tajemnica Juiego Jitsu.
Zamek rozbójnikow pod Palermo.
Zbrodnia w Armii zbawienia.
Profesor Flaks, wielokrotny morderca.
Pościg w pustyni.

Cena każdej powieści w trójbarwnej okładce tylko

30 hal.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, trafikach i biurach dzien.

Na żądanie wysyła wprost

powyższych 10 powieści za 3 K 30 h. franko. Za zaiiczką o 45 hal. więcej.

Księgarnia antykw. M. PROKESZA

w Krakowie, ul. Szewska L. 17.

MAGAZYN GALANTERYJNY.



Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego

Przyborów do podróży

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, ULICA SŁAWKOWSKA L. 3. HOTEL SASKI.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Prototypem niestrudzonego, pełnego poświęcenia szermierza porządku i ładu społecznego, był i będzie po wszystkie wieki

SZERLOK HOLMES

najgenialniejszy detektyw i kryminalista, jakiego kiedykolwiek ziemia wydała. Wolny i niepodległy, surowy dla siebie i innych, współczujący z nieszczęśliwymi i szlachetny — nie oddał on genialnego talentu swego w przedajne usługi żadnego rządu, żadnej uprzywilejowanej warstwy społecznej lub koteryi politycznej, lecz całem swojem duchowem i fizycznem jestestwem służył wielkiej Ojczyźnie człowieka — Ludzkości.

Nigdy jeszcze nie było detektywa, któryby w równej mierze łączył **rozum, siłę, przenikliwość, gruntowną wiedzę, odwagę i przytomność umysłu** i wszystkie te rzadkie dary tak szlachetnie i bezinteresownie oddawał na usługi społeczeństwa.

Przygody Szerloka Holmesa w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Madrycie, Nowym-Yorku, Chicago, San Francisko, Kairze, Indyach, Australii, **jego niepospolita przenikliwość, ruchliwość jego umysłu, jego sprytne kombinacye,** które się opierają na głębokiej znajomości człowieka, a często i na podstawie naukowej, i prowadzą go zawsze do pożądanego celu, **jego żelazna energia,** zwalczająca przeszkody — to stanowi treść senzacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań

O SZERLOKU HOLMESIE

Prócz niezwykłych przygód interesującego tego człowieka — podajemy ponadto w każdym numerze naszego „Tygodnika“ — przegląd bieżących a ciekawych wypadków kryminalistycznych, jak niemniej obfitą wiązankę humorystycznych zdarzeń, epizodów i intermezzów z sali sądowej i ogółem z zakresu kryminalistyki.

Każdy numer zawiera prócz tego nieocenione humorystyczne

Uwagi i przestrogi Pana Majtyki

c. k. emerytowanego Woźnego sądowego, który ze skarbnicy swoich doświadczeń życiowych i biurowych sypie prawdziwe klejnoty, mieniące się jak rakiety tysiącem barw w promieniach jego dowcipu i pogodnej ironii.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach tego genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.

Co sobotę regularnie ukazuje się numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Adres Redakcyi i Administracyi Tygodnika Szerlok Holmes: Kraków, Zielona 7.

Skład główny na Królestwo polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ulica Waliców 5.

Wydawca: **Aleksander Ripper**. Odpowiedzialny redaktor: **Tomasz Wróbel.**

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie.